

Jan. Jan
BF P 2946

nr 4863

Wiadomości Polskie

LES NOUVELLES
POLONAISES
HEBDOMADAIRE

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

ROK I. — NR. 1. — PARYŻ,
NIEDZIELA, 17 MARCA 1940.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

PARIS,
52, avenue des Champs-Élysées,
app. nr. 376. Tel.: ELY 64-46.
Codzień w g. 10—12 i 15—19.

Konto w Banku Polskiej Kasy
Opieki (23, r. Taitbout) nr. 72.

Ogłoszenia w tekście wiersz pe-
titowy: 20 fr., za tekstem: 15 fr.

CENA PRENUMERATY :

We Francji kwart. 35 fr., półroc. 65 fr., rocz. 125 fr.
(W Paryżu prenumeratę można zamawiać telefonicznie)

Zagranicą kwartalnie: w Anglii 8 szylingów, w Bel-
gii — 8 belgów, w Danii, Norwegii i Szwecji — 7 ko-
ron, w Holandji — 3 floreny, na Litwie — 6 litów,
w Palestynie — 45 piastów, w Rumunii — 400 lei,
w Szwajcarii — 7 fr. szwajcarskich, na Węgrzech —
8 pengő, w Stanach Zjednoczonych i w pozostałych
krajach — 1 1/2 dolara.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

LITERATURA EMIGRACJI WALCZĄCEJ

Należy nam, piszącym, otrząsnąć się przedewszystkiem z całej grozy 1939 r. grozy, w której naprawdę, na przestrzeni jednego miesiąca, odbyło się wszystko to co w całym tysiącletcu historii polskiej było koszmarnie, ponure, tragiczne. Bo istotnie, w zmiennej tylko scenarii powtórzyło się tu wszystko. W tych zagonach zmotoryzowanych kolumn, wrzynających się głęboko w kraj, pustoszących go ogniem, niszczących go mieczem, było do-
prawdy coś z najzłodszych markgrafa Gerona u świtów naszej historii, coś z rejs krzyżackich średniowiecza, tak samo silniejszy orężnie, tak samo zakutych w żelazo. W tej Warszawie na gruz zestrzelanej odnowiło się meczeństwo kociuszkowskiej Pragi, spalanej przez kozaków Suworowa, w pół opuszczonej przez wojsko, bronionej przez lud. Kto widział jak mizerny dorobek tego kraju był łupiony, grabiony, wywozony systematycznie, temu musiałby stanąć przed oczami sceny ze szwedzkiego potopu. A ci co na wschodzie Polski widzieli jeszcze wlew innych wojsk, ciemnych, obdartych, nieufnych, głodnych, walących kupą i czer-
nią, zawałających nasze miasta soddaką szarańczą, temu napewno nie stanęła w oczach żadna z tych rewolucyjnych armii, jakie w ciągu stuleci szły przez Europę, pchane prężnością młodych haseł, dynamitem nowych idei, łaskotami rozbuhanych nadziei. To podpełzała raz jeszcze Azja kałużecka i raczej starą drogą kresowych szlaków rosyjska, sama żyjąca w upodleniu, innym upodleniu niosąca. Było coś z bezwodziostwa Chłopickich i Skrzyńskich w naszej ostatniej tragedii, były echa leśne powstania styczniowego w partyzantce późniejszej, kryjącej się w lasach, jak tamci spod Małogoszy. Powtórzyła się wreszcie i największa karta hańby Rzeczypospolitej szlacheckiej, piętnowany za Jana Kazimierza «srom piławiecki». W nim znowu odbyło się wszystko z czasów Jaremy i Krzywonosy: buńczuczna fanfaronada nowej szlachty wobec nowego «Chmiela» i zbrodnia niezdarność nowych regimentarzy, jak tamci zdolnych jedynie do tego by jedynemu prawdziwemu wodzowi odmówić armii, nie powierzyć władzy. Zawałenie się państwa polskiego było tem jeszcze do głębi tragiczne, że przypominało naraz chwile najgorsze, klęski najcięższe całej naszej przeszłości.

Ten rys właśnie powinniśmy my, piszący, wysunąć na plan najpierwszy, gdybyśmy w chwili obecnej pojnowali jako swe najważniejsze zadanie, by to co się stało brać już teraz na warsztat, póki lekko to jeszcze od krwi świeżej, póki czerni ręce sadzą spaleni. Istotnie możnaby szukać usprawiedliwienia dla takiej właśnie postawy współczesnej emigracji «literackiej» wobec tego co się stało, wobec tego co jest: ci wciely, co na sto lat przed nami chodzili jak my po tym «paryskim bruku», postępowali poniekąd tak właśnie: złożyli «Virtuti Militari» poezji na rozwartą mogiłę wysadzonej reduty Ordona i samotną walkę beznogiego generała na Woli warszawskiej. Odleli w spiz dramatu proces filomatów wileńskich i Warszawę spisków Kordjana. Walkę, w której sami udziału nie wzięli, uczcili pieśnią. Byli o ileż więksi od nas. Może nam, to co im wtedy, także dziś wolno? A może, tak jak oni przed wiekiem, mamy rozżalenia do «zapóźnych żalów», zniechęcenia do «potępieniycznych «wawów», «drzwi od Europy zatrzasnąte hałasów»? Może mamy, dla tej nowej emigracji, której jak tamci, jesteśmy częścią, wywołać z przeszłości, obronić od zapomnienia, miraż innych Soplców, innych krajów lat dziecinnych? Może mamy oderwanym od kraju pokazać utraconą Polskę malowaną łagodniemi tonami rodzącej się w każdym nostalgii, Polskę niedawną a upiększoną, jakąś Polskę pogodną jak ów wieczór letni, kiedy to goście Sędzkiego wracali z grzybobrania, z Telimieną w czerwonym szalu, z panem wojskim naprzecde? Jakąż ostatecznie drogę obierze nowa literatura nowej polskiej emigracji? Tragedję wojenną nowych redut Ordona, czy siankę epiczną, którąby nas na emigracji przenosiła raz jeszcze do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych? Oto wielkie dla literatury emigracyjnej pytanie.

Albowiem, skoro tylko znaleźliśmy się wszyscy, jak przed stu laty, na tym

samym paryskim bruku, z tą chwilą każdego, kto jest naprawdę wrośnięty w naród polski, każdego kto historję Polski nie tylko zna, ale czuje, nachodzić poczęły mary antenatów sprzed wieku. Ma ich tu polski żołnierz i polski mąż stanu, ma ich i pisarz polski. Trop w trop za żołnierzem polskim może się tu zjawić cień tragiczny kapitana Mayznera, który kończył swe życie w paryskim przytułku szpitalnym, nad którego śmiercią nierycerską żalił się wiersz Słowackiego:

Gdyby przynajmniej przy rycerskiej
Karabin jemu pod głowę żołnierski!
Ten sam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwiderski,
Gdyby miecz w sercu, lub śmiertelna
Lecz nie! — Szpitalne łożo i koszula.

Czy on pomyślał? tej nocy błękitów
Gdy Polska cała w twardej zbroi
Gdy leżał smętny w trumnie karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstałej
Gdy swój karabin przyciskał do łona? —
Czy on pomyślał wtenczas — że tak

Trop w trop za polskim mężem stanu,
politykiem z Angers czy hotelu Regina,
może wlec się smutna mara z Hotel Lambert, Adam Czartoryski, prezes
Rządu Narodowego, polityczny mózg
emigracji, którego kanclerskie koncepcje,
dalekosieżne plany skazały być na nicność. Jak w «Weselu» Wypian-
skiego ktoś się tu za nami będzie ciągle
błagał, ktoś stapać będzie krok w krok
za nami. Ale jeśli paryscy antenaci
polskiego żołnierza i polskiego męża stanu
mogą tylko straszyc dzisiaj «późnych
wnuków», to antenaci emigracyjni polskiego
pisarza be-

da go zbyt nęcili, zbyt kusili. Przecież
oni właśnie w tym Paryżu podnieśli sto-
lat temu piśmiennictwo polskie do nie-
osiągniętych dotąd, nieprześcignionych
później wyzyn artysty. Oni, lepiej niż
generałowie, trwalej niż politycy, zasłu-
żyli się sprawie narodowej. Może więc
i dziś, jak wtedy, mogą pisarze polscy
emigracji trzymać się zdala od walki,
laur tylko opuścić na groby? Może i oni
najlepiej dziś zrobią, jeśli za przykładem
tamtych, «drzwi od Europy zatrzasną
hałasów», wskrzesaż zaś wygnano-
niebo litewskie i stępy podolskie, nowe
Soplicowcy, nowe zaszianki dobrzyńskie?
Cóż innego uczynili ci wciely, którzy
stąpali przed nami tym samym emigra-
cyjnym brukiem? Czy nie wystarczy po-
 prostu pójść tam-
 tym śladem?

A jednak ośmielilibyśmy się stwierdzić,
otwierając łamy tego nowego emigra-
cyjnego pisma, poświęconego sprawie
kultury polskiej, że współczesna litera-
tura emigracyjna postąpiłaby jak najgorzej
gdyby poszła ślepo za przykładem
sprzed lat stu, choć tak wielkim, tak
świętym. Postąpiłaby źle, gdyby jej
ludzi zabrakło na polu walki, jak zabrakło
poetów pod Grochowem i pod Ostrołką.
Postąpiłaby źle nawet wtedy, gdyby
rozpamiętywała jedynie nowe reduty
Ordona, nowe Daszowy, nowych Sowiń-
skich. Postąpiłaby źle, gdyby znieka-
nęła emigracji wyczarowywać miraż utra-
conego kraju, jak to czynił największy z
wielkich, Albowiem — wbrew wszelkiemu
pozorom, wbrew temu co się mówi a
nawet już pisało — emigracja r. 1939
nie jest emigracją r. 1831, ma zupełnie
inne warunki, zupełnie odmienne zadanie.
Nie, nie można dzisiaj żołnierza pol-
skiego, który rozbrojony u granic Pol-

ski, przedzierał się jak ongi przez Euro-
pę do Francji, porównywać z tamtym
sprzed wieku, co raz broń złożywszy,
nigdy jej potem nie mógł już podjąć.
Nie, nie można w dzisiejszym polskim
mężu stanu widzieć dziedzica tragedii
księcia Adama, skoro to o co tamten
walczył, — wojna Zachodu z ciemniami
Polski, — jest dziś faktem. Ale może
największa z różnic między tamtymi a
nami nie jest tak przepaśna jak to gdzie
chodzi o świat pisarski, o ludzi intelek-
tu.

Literatura tamtej emigracji powstała
w chwili kiedy ostatecznie zawiódła i
polska szabla i polska myśl polityczna.
Stała się trzecią linią obronną pol-
szczy, zwaną przez wiek «sprawą polską».
Postawiła sobie za zadanie gloryfikację
przebranej walki. Postanowiła przerzucić
obowiązek wznawienia tej walki na
następne pokolenie i zadanie to spełniła
świetnie: w lat kilkadziesiąt potem wiersz
mickiewiczowski, deklamowany w kieleckim
gimnazjum rosyjskim, budził patriotyzm
Andrzeja Radka, a pierwszym korepetytorem
politycznym Ziuka Piłsudskiego w dale-
kim Żułowiu był przecież Słowacki. Tak
spełniła ówczesna literatura ówczesny
swoj obowiązek.

A potem, była to jeszcze i dla innej
literatury całkowicie odmienna. Dla tych
co ją tworzyli stało się niebawem najzu-
pełniej jasne, że do kraju nie powrócą
nigdy ani oni, ani ci co z wojskiem
przekroczyli szlabany graniczne za
Plockiem. Przeto, zniechęceni, zatrzasnęli
naprawdę drzwi «od Europy hałasów»
obojętnej Europy Ludwika Filipa, prze-
kleli rządy «liżące stopy» cara Pół-
nocy. Stąpając po Paryżu, zamknęli oczy
na Paryż, aby widzieć pod zamkniętą
powieką rodzin-

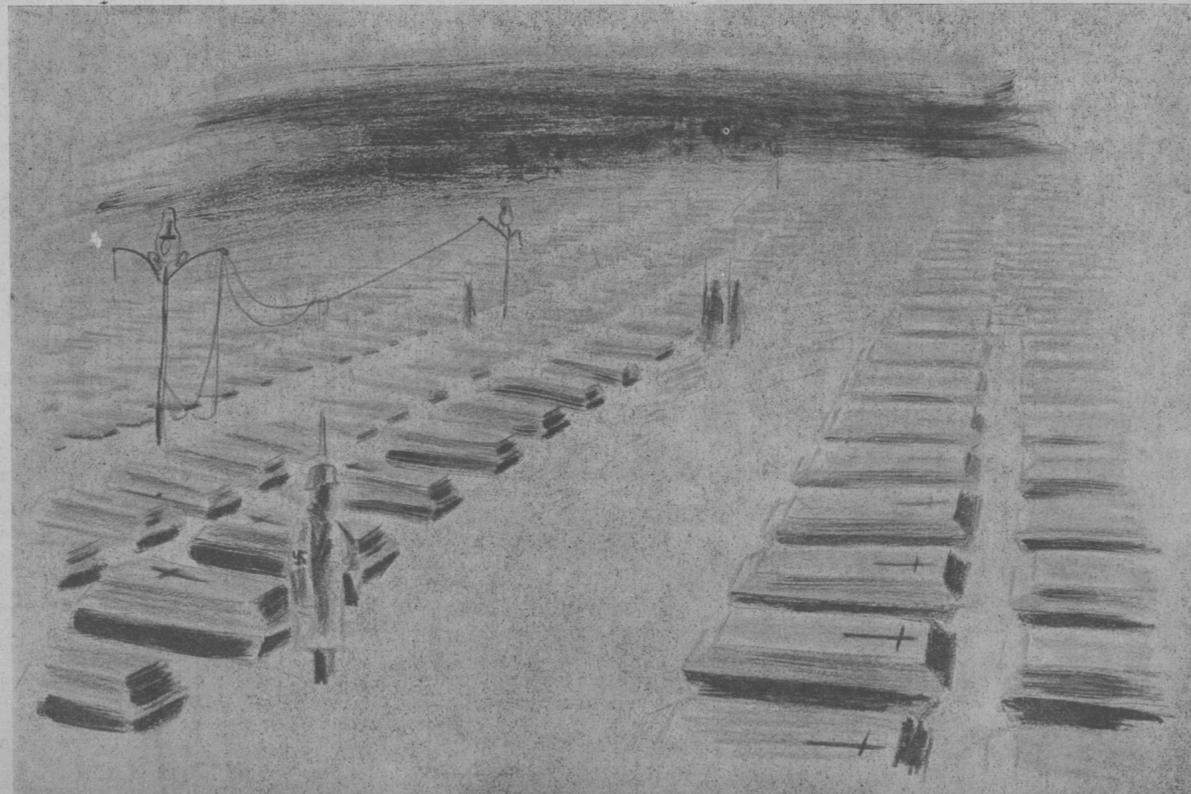
ne Oszmiany i Lidy, Krzemienie z górą
Bony, stęp poznawany «po kwiatów
rodzinnym zapachu». Pamiętali, że
piszą dla ludzi już dojrzałych życiem,
zżartych wieloletnią tułaczką emigra-
cyjną, dla biednych szlagonów, którym
w tym całym Paryżu dawno już ob-
rzydł burgund i ostrugi, a prosiłoby
się zsiadłe, wiejskie mleko. Tym lu-
dziom nieszczęsnym i beznadziejnym
łagodził ból agonii, Czarowali dla nich
polskie niebo, i pola malowane zbożem
rozmaitem, i cichą wieś litewską, i kłó-
tnię o ubłąż zwierzyne Asesora z Re-
jentem.

Aż wreszcie stało się że ta właśnie
literatura polska, zrodzona w Paryżu,
stała się arcy-polska, ale bardzo mało
uniwersalna; bliższymi sąsiadami są
imć pan Rey z Nagłowic i sieur Rahe-
lais z Chinon, niż Goszczyński i Mus-
set, choć przecież tamci dwaj żyli na
dwóch krańcach Europy, a ci chodzili
ulicami tego samego miasta. To prawda
że dopiero w okresie wielkiej emigra-
cji literatura polska stała się wielką
literaturą, ale to także jest prawdą
że od tej właśnie chwili zwyciężył w
niej partykularizm, mumifikujący cie-
nie ostatnich Horeszków i ostatnich
Dobrzyńskich, Konewków i Jankłów.
Ci ludzie z Quartier Latin widzieli je-
no nadniemiejskie łąki, spod topól w
Montmorency — cień grus polnych,
szeroko rozrośniętych na miedzach.

Tamta emigracja była emigracją po-
konanych. Ta nowa jest emigracją wal-
czących. Tamta emigracja utraciła swą
armję, ta swą armję dopiero tworzy. A
wreszcie tamta emigracja była emigra-
cją ludzi dojrzałych, którzy wrócić do
kraju nie mieli już nigdy. Ta nowa

Pragnąc dać możność wypowiedzenia się jak największej ilości pisarzy, przebywających na emigracji, «Wiadomości Polskie» wydają nr. 1 w zwiększonej objętości. Normalny numer «Wiadomości» liczyć będzie 6-8 stron druku. Nr. 2 «Wiadomości» ukaże się dn. 16, nr. 3—dn. 26 marca, potem pismo będzie wychodziło co wtorek.

L'ORDRE RÈGNE A VARSOVIE



rys. Lewitt-Him

KSAWERY PRUSZYŃSKI.

JAN LECHOŃ

Grób Agamemnona

Czarna cyprysu dłoń wzniesiona
I rozkruszonych kolumn piach,
Grobowe płyty potrzaskane
I księżyc, który padł na ścianę.
Czy widzisz grób Agamemnona?
Elektrę nad nim całą w tżach?

Oto żołnierze bez nadziei,
Co krwią zbroczeni padli w pyłe,
Poblądł, trupa kryjąc twarz.
Ty, któryś szedł na Termopile,
Czy słyszysz wicher Cheronei,
Którego odtąd słuchać masz?

Siądź tutaj ze mną w cząbrów woni,
Trzymaj Elektry dłoń w twej dłoni,
Wstuchany w taki nocny śpiew!
Na tego grobu usiądź płyty —
Patrz! Jakiś orzeł znakomity
Ze srebrnych skrzydeł trzęsie krew.

O, nie myśl teraz: „To kto inny!”
Padnij i wołaj: „Jam jest winny!”
Ja, którym marzył, którym spał” —
I tylko wtedy w gąszczu pinii
Zobaczysz kształt klasycznych linii,
Atene złotą wpośród skał.

Patrz! Oto światła smuga drżąca
Ginie i schodzi w mroczny Ereb,
Niech cię nie straszy jego głąb!
I niechaj stopa twoja potrąca
Na drodze twej rubaszny czerep,
I na dno samo śmiało zstąpi.

JAN LECHOŃ.

JULJAN TUWIM

Na pustyniach

Już ja z ziemi nieba nie widzę,
Już i gwiazdy na mnie nie wejrzą.
Sprawiedliwy! proszę o wizę
Na pustynię najpustynniejszą.

Żebym bez trwogi i pogardy,
Ale z nadzieją i miłością
Mógł wnieść oczy w bezmiar rozwartych
Wieczną prawdą świecących kościół.

Żeby nocą zasiedli przy mnie
Nowi bracia moi szakale
I zwierzęco dysząc na zimnie,
Ciepło do mnie pomrukiwali.

A ja, z bladym nad głową krąkiem
Najszczęśliwszy w świecie uchodźca,
Zapomnianą otworzę książkę,
Gdzie Syn skonał dla prawdy Ojca.

Pod tą czystą nocą ogromną
W ludzkie strony zawyją żalem,
Zrozumieją i nie zapomną
Nowi bracia moi szakale.

Wzniosą oczy, nowe i inne,
W moje spojrzą wiernie i ufnie,
I z tej czystej nocy pustynnej
Gwiazda spadnie — i nie wybuchnie.

JULJAN TUWIM.

STANISŁAW BALIŃSKI

Kolęda warszawska

O Marjo, odłóż Dzień Narodzenia
Na inny czas,
Niechaj nie widzą oczy Stworzenia,
Jak gnębią nas.

Niechaj się rodzi Syn najmilszy
Wśród słodszych gwiazd,
Ale nie u nas, nie w najsmutniejszym
Ze wszystkich miast.

Bo w naszym mieście, które pamiętasz
Z dawniejszych dni,
Krzyże wyrosły, krzyże i cmentarz,
Świeży od krwi.

Bo nasze dzieci pod szrapnelami
Padły bez tchu,
O święta Marjo, módl się za nami,
Lecz nie chodź tu.

A jeśli chcesz Go narodzić w cieniu
Warszawskich zgliszcz,
To lepiej zaraz po Narodzeniu
Rzuć Go na krzyż.

STANISŁAW BALIŃSKI.

ANTONI SŁONIMSKI

Alarm

„Uwaga! Uwaga! Przeszedł!
Koma trzy!”
Ktoś biegnie po schodach.
Trzasnęły gdzieś drzwi.
Ze zgiełku i wrzawy
Dźwięk jeden wybucha i rośnie,
Kotuje jęklawie,
Głos syren — w oktawy
Opada — i wznosi się jęk:
„Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy!”

I cisza.
Gdzieś zgóry
Brzęczy, brzęczy, szumi i drży.
I pękł
Głucho w głąb.
Raz, dwa, trzy.
Serja bomb.

To gdzieś dalej. Niema obawy.
Pewnie Praga.
A teraz bliżej, jeszcze bliżej.
Tuż, tuż.
Krzyk jak strzęp krwawy.
I cisza, cisza, która się wzmaga.
„Uwaga! Uwaga!
Odwołuję alarm dla miasta Warszawy!”

Nie. Tego alarmu nikt już nie odwoła.
Ten alarm trwa.
Wyjcie syreny!
Bijcie werble, płaczcie dzwony kościołów!
Niech gra
Orkiestra marsza spod Wagram,
Spod Jeny.
Chwycicie ten jęk regimenty,
Bataliony, armaty i tanki,
Niech buchnie,
Niech trwa
W płomieniu świętym „Marsyljanki”!

Kiedy w południe ludzie wychodzą z kościoła,
Kiedy po niebie wiatr obłoki gna,
Kiedy na Paryż ciemny spada sen,
Któż mi tak cicho nadłuchiwać każe?
Któż to mnie budzi i woła?
Słyszę szum nocnych nalotów.
Płyną nad miastem. To nie samoloty.
Płyną zburzone kościoły,
Ogrody zmienione w cmentarze,
Ruiny, gruzy, zwałiska,
Ullice i domy znajome z dziecińczych lat,
Traugotta i Świętokrzyska,
Niecata i Nowy Świat.
I płynie miasto na skrzydłach stawy
I spada kamieniem na serce. Do dna.
Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy.
Niech trwa!

Warszawa

Wołam Cię głosem nabrzmiałym łzami
Przez radio Paryż, radio Toulouse,
Dumna Warszawo, zryła kulami,
Zżarta pożarem, zwałona w gruz.

O, jak surowo w dymów pomroce
Patrzysz oczami wybitnych szyb,
I wiem, już nigdy warszawskie noce
Nie wrócą dla nas zapachem lip,

I nigdy z sercem wiernem i czystym
Już nie zapukam do Twoich wrót,
Bo znajdę tylko w mieście ojczystym
Kamień i wzgardę, gruzy i chłód.

Choć się zrosną Twych ruin bliźni
I z krwi obeschnie ulic Twych bruk,
Lecz słońce rzuci cień od Ojczyzny,
Cień co się mrocznie ściele u nóg.

Patrz jak opada na Paryż szary. —
Gdy już w tym cieniu przyszło nam żyć,
Gdy noc uliczne uciszy gwary,
O czym tu dumać i o czym śnić?

ANTONI SŁONIMSKI.

Paryż, w październiku 1939.

KAZIMIERA IŁAKOWICZÓWNA

Dlaczego śpiewam...

Dlaczego śpiewam wśród ludzi, jak dziad, co nagle że-
[brząc w rynku kłęka?
Ach bracie mój, ach siostrzo, na strasznych jestem roz-
[ciągnięta mękach.
Nóż w sercu noszę, i coraz to ręka nieświadomego nagle
[szarpnie nożem.
Po cierniach stąpam, na cierniach głowa ma spoczywa,
[kiedy idę w tożę;
sen mię jak jastrzęb szarpie, jawa jak sęp ściga;
dzień każdy przelatuje po mnie, jak w pędzie kwadryga,
...miażdżąc... I muszę niby dziad palną pieśnią
[brzęczeć,
by włosów nie rwać z bólu i nie jęczeć.

KAZIMIERA IŁAKOWICZÓWNA.

MARJA JASNORZEWSKA

Wszechmocnemu

I

Gdy upatrzysz łup Swemi oczyma,
Któż Ci wzbroni i kto Cię uprosi?
Gdy porowasz go, któż Cię powstrzyma?
Raczej orła, gdy dziecko unosi!

Boskich Twoich szponów, gdy chwyciły,
Gdy zamknęły się wkoło zdobywszy,
Nie rozłączy żadna ludzka siła —
Chyba Ty jej pomocy użyczysz!

II

«O utrapiona, wichrem rozmięciona, z
pociechy obrana! Oto ja położę na kar-
bunkułach kamienie Twoje, a na szafi-
rach założę cię — i uczynię z kryształu
okna Twoje»...
(Pismo Święte)

Miasto ruin, w czarnych schnące kirach,
Odbudować przyjdzie Ci ochota —
Zakładając je na szafarach,
I przydając mu bramy ze złota.

Równie tkliwy, jak wpród byłeś zimny,
Łzę uronisz nad zabitych spisem,
I ochota przyjdzie Ci na hymny,
Grzmiące z miasta o murach z jaspisu!

I różami zakryć się postarasz
Każdą wyrwę, gwiazdy dasz w ozdobie —
Tylko każesz na nowych sztandarach
Krwii przelanej powiewać ku sobie...

MARJA JASNORZEWSKA.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Wróć nas do kraju

Wróć nas do kraju, gdzie wiejskie figury
O deszcz za czasu posuchy się modlą,
Ty, coś zbawiennej poskąpił nam chmury
I ani jedną nie wzmogłeś nas kroplą,

By wodne nurty wezbrały i strzegły
Ziemi bezbronnej, omdlałej od spieki,
Gdy suchą stopą w równinie rozległej
Wróg przez wyschnięte przeprowiał się rzeki.

Wróć nas do kraju, gdzie lud bogobojny
W głośnych i śpiewnych modlitwach się troska,
By od powietrza, od głodu i wojny
Twoja go ręka chroniła ojcowiska.

Wróć nas do kraju, gdzie ściany kościołów,
Święte od westchnień, pachnące kadzidłem,
Rozbił ogień zwysoka i otół,
A śmierć po wieżach wtoczyła się skrzydłem.

Wróć nas do kraju, gdzie jeśli kto spyta
Jak ludzkim pojąć to wszystko rozumem,
Pustka mu tylko odpowie rozbita
I wiatr w ruinach zakłębi się szumem.

Wróć nas do kraju, gdzie nikt ci nie bluźni,
Jeśli w bezradnej udreće się zbliża
Do starych prorocत्व i przedzej czy później
Losy ojczyste porówna do krzyża.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

IRENA TUWIM

Do wiosny paryskiej

Nie bądź w tym roku, wiosno paryska,
Zbyt bujna, zielona, szalona!
Powstrzymaj się, miła, pohamuj w twoich majowych
[zapędach,
Pomyśl o chorej twej siostrze, o wiosnie warszawskiej,
I o nas,
Biednych przybłądach.
Nie pozwól się stroić kasztanom tej wiosny, prochem
[zatrutej,
W biało-różowe jedwabie. Bzom nie każ pachnieć tak
[rośnie —
W ogrodach warszawskich drzewa wyciągają zwęglone
[kikuty

I krzyczą o pomstę do Boga.
Pomyśl o tamtej wiosnie.
Ptaki? Przyfruną. Niejeden zakotuje nad miastem,
Pomyśli, że drogę zmylił albo że rozum stracił —
Kwaity? Zakwitną kwiaty. Pocziwą trawą i chwastem
Pokryją na skwerach śródmięscia groby naszych przy-
[jaciół.
Nie gniewaj się, wiosno paryska. Nie gniewaj i nie obra-
[żaj,
Westchnij żalobną konwalją, uśmiechnij się różą polną,
Deszczykiem rzewnym, rzęsiwym, spłynij, moja miła, po
[twarzach

Nam, którym płakać nie wolno.

IRENA TUWIM.

X. AUGUSTYN
JAKUBISIAK

W obronie jednostki

Na samym wstępie winieniem wyjaśnić tytuł niniejszego artykułu. Wydać się on może nieodpowiedni w chwili obecnej, nie wiążący się z jej największym niebezpieczeństwem. Jest rzeczą zbytyczną wykazywać, zwłaszcza nam Polakom, że niebezpieczeństwo polega na skojarzeniu i współdziałaniu dwóch totalizmów. Czy niebezpieczeństwo to nie grozi przede wszystkim rasom, ludom i narodom oraz ich instytucjom? Czy wobec tego nie jest bardziej wskazane zamienić powyższy tytuł na inny, bardziej określony i aktualny, jak np.: «W obronie ras uciśnionych». «W obronie demokracji», czy też «W obronie wolności ludów, narodów lub państw»?

A jednak obstaraj przy niniejszym tytule. Choć bowiem nie wątpię, że totalizm jest największym niebezpieczeństwem w chwili obecnej, sądzę że najbardziej zagraża on jednostce ludzkiej jako takiej. O jednostce więc mówić będą, niezależnie od jej stanu, płci, rasy lub klasy, i postarają się wykazać że to jej właśnie grozi największe niebezpieczeństwo ze strony państw totalnych.

Istnieje w istocie każdego z nas coś jedynego i niezamienialnego, coś co jest naszą wyłączną własnością, coś co nie znajduje się w nikim innym, dzięki czemu każdy z nas jest bytem odrębnym, niezależnym i wolnym, przynajmniej w swych poczynaniach wewnętrznych, jeżeli nie w swej zewnętrznej działalności.

To coś, jedne i odrębne w każdym z nas, nosi nazwę *indywiduum*, która to nazwa oznacza etymologicznie niepodzielność danej jednostki: nie można bowiem dzielić jej na części, nie niszczyć jej jako takiej.

Temu to nieocenionemu skarbowi, jakim dla każdego z nas jest jego własna indywidualność, zagraża dziś wielkie niebezpieczeństwo. Nie tylko bowiem skarb ten poczytywany jest na ogół za niepożyteczny, a nawet za wręcz szkodliwy dla społeczeństwa, ale posiadacze jego, czyli jednostki, napotykały coraz to więcej przeszkód, aby skarbem tym się zająć i czuwać nad jego wzrostem, tak że los jego staje się czasem podobny do losu owego ewangelicznego talentu, zakopanego w ziemi.

Na dowód że niebezpieczeństwo nie jest wcale urojone, wystarczy uświadomić sobie, jak państwa totalne traktują jednostkę i siebie i w zajętych przez się krajach. To co dzieje się obecnie w zdobytej Podbojem Polsce i w zajętych bez boju Czechach, wystarcza jako ilustracja ostatniego punktu. Wiemy również, że los jednostki nie jest istotnie lepszy w samych państwach totalnych, o czym świadczą przepelnione obozami i łagrowymi, a także coraz częściej i bardziej egzekucje, tak w Niemczech jak i w Rosji sowieckiej. A czyż nie charakterystyczny pod tym względem jest świeży wydany przez Kreml nakaz dobijania własnych żołnierzy, ciężko rannych na froncie fiński?

Wywody powyższe spotykają się z zarzutem, że los podbitych był zawsze opanakany, czego dowodem łaciński adagium: «Vae victis!». To zaś, co się dzieje dziś w krajach totalnych, jest nieuniknionym następstwem stanu wojny, który zawsze i wszędzie był dla jednostki stanem ucisku. W odpowiedzi na ten zarzut i jako dowód, że los jednostki w państwach totalnych nie jest następstwem wyjątkowego stanu, w którym panuje «ius belli», wystarczy uświadomić sobie, jak państwa te pojmują i przygotowują przyszłość przez wychowanie młodzieży.

Nie kwestjonuję bynajmniej pewnych dość znaczących różnic, jakie istnieją między ideologiami państw totalnych: między włoskim faszyzmem, niemieckim rasizmem i rosyjskim bolszewizmem. Poza temi jednak różnicami, państwa owe charakteryzuje jedna wspólna, zbliżająca je tendencja. Wyraża ją ona w szeregu wysiłków, zmierzających do tego, by uniemożliwić jednostce ludzkiej poszukiwanie i realizację jej najlepszych możliwości wewnętrznych, poddać ją natomiast całkowicie woli cudzej, mniejsza o to, czy wola ta zwie się wola klasy, rasy, czy ubóstwanego państwa. Na dowód, że to co mówię nie jest przesadą, wystarczy przytoczyć panujące w owych krajach poglądy na cele i metody wychowania. W sprawie tej wysłała w języku francuskim głęboka rozprawa rodzaci naszej, p. Irene Gałęzowska, p. t. «La philosophie des jeunes — nouvelles dupes des vieilles erreurs» («Filozofia młodych, czyli nowe ofiary starzych błędów»). Ubolewać należy, że książka ta nie ukazała się dotychczas w polskim przekładzie. Z tej gruntownej pracy zaczerpnąłem główne dane, dotyczące wychowania w krajach totalnych.

Ze wychowanie we Włoszech mierza wyraźnie do przygotowania państwa jak najbardziej liczących i zdecydowanych faszystów, jest rzeczą wszystkim wiadoma. Co znaczy jednak być faszystą? Posłuchajmy odpowiedzi, jaką nam daje na to pytanie wybitny teoretyk faszystowskiego regimenu, Augusto Turati: «Być faszystą, — mówi on, — jest to być takim, jakim Włoch nas chce mieć». Chodzi tu o bezwzględne i całkowite posłuszeństwo woli Mus-

soliniego, dowodzą tego wyraźnie dalsze słowa Turatiego. Zaleca on wstępującym w szeregi faszystów, «żeby byli dumni, iż są faszystami, nie należącymi do nikogo innego jak tylko do jednego Duce». Do Duce bowiem należy wyłącznie tworzenie duszy, jaką mieć powinni faszyci: zadaniem ich więc jest poddać się całkowicie woli tego niezrównanego artysty, rzeźbiarza charakterów, aby ulepił z nich, jak z gliny, to co chce.

Jaki jest cel wychowania młodzieży w Niemczech? Cel ten określa sam Hitler w następujących słowach: «Wychowujemy naszą młodzież, — mówi on na zjeździe w Erfurcie, — by zrobić z niej to czem chcemy, by była ona w przyszłości, a jeśli wśród ludzi naszego pokolenia znajdują się tacy, którzy nie wierzą, iż możliwa jest dla nich zmiana orientacji, zabierzemy im ich dzieci i wychowamy je, by uczynić z nich to co jest niezbędne dla narodu niemieckiego».

Ten tak prosto i jasno wyrażony program nie pozostał bynajmniej martwą literą, ale stosowany jest systematycznie i konsekwentnie we wszystkich szkołach i instytucjach państwowych, gdzie młodzież niemiecka wychowuje się i kształci. Program ten widzi się w «Deutsches Jungvolk», do którego wstępują młodzi chłopcy od lat 10 do 14, w «Hitler-Jugend», przeznaczoną dla starszych, i w uniwersytetach, gdzie młodzież kończy swe studia. Na wszystkich stopniach tej olbrzymiej «stresury duszy» wychowanie wywiera potężną presję na młodzież, aby wykorzystała nie liberalizm, wpoić w nią natomiast kult rasy wyższej, z której ta młodzież rzekomo się wywodzi i której pielęgnacji powinna ona wszystko poświęcić: «Zachowanie gatunku — pisze Hitler w «Mein Kampf» — wymaga gotowości poświęcenia indywiduum. Poświęcenie to jest konieczne dla istnienia i zachowania rasy». Oto zasady, na których oparte jest dziś wychowanie w Niemczech.

Wiadomo jest wszystkim, że marksowska pedagogia w Rosji sowieckiej stawia jako cel «stworzenie człowieka kolektywnego». Wiemy również, że taki cel wymaga od jednostki kompletnego wyrzeczenia się realizacji osobistych, choćby najlepszych, możliwości swego życia. Mieć poczucie, że się jest «masą ludzką», «kółkiem w maszynie żywej», utracić świadomość swego ciosnego «ja», by żyć głębokim życiem młodej siły zwierzęcej, kipiącej w milionach ciał, zniszczyć samego siebie by żyć pełnią, żyć życiem wszystkich i wszystkiego co jest, oto ideał, do którego dąży wytrwale komunistyczny rosyjski, poświęcając mu co mają najlepsze z sił cielesnych, uczuciowych i umysłowych. Ideał ten, narzucony przez młodzież rosyjskiej, wyraża istotę dążeń komunizmu, wie o tem każdy, kto choć trochę obeznany jest z ideologią tego ruchu: «Wdrażani od dzieciństwa do życia wspólnego, — pisze w swej książce Gałęzowska, — przepojeni fanatyzmem, przechodzący z organizacji do organizacji, gdzie uzupełniają się i konsol-

glują. Zarośli od narodów, a po obecny dzień wojnie przekonany się zapewne wszyscy, że największym niebezpieczeństwem i plagą ludzkości są narody. Dwa tylko narody wyprzedziły pod względem kłamstwa: starożytnych Greków i nowożytnych Francuzów. Ale niestety, nie mam nato żadnego wpływu.

Francuzi nie otrzymali od Boga swych wielkich przywilejów za darmo. Bóg nie zrobił Francji prezentu z jej charakteru i kultury. Za wszystko co zdobyła, musiała Francja drogą płacić — pracą i krwią. Wszystkie wolności, jakie się w tym kraju rozwinęły, zostały przez Francuzów wywalone.

Znaleni i kołachem ten kraj w latach 1918—1938, w okresie, słusznie zwanym do pewnego stopnia — pokojem. Teraz po raz pierwszy mam sposobność żyć we Francji w czasie wojny. Podobnie jak jednostki, tak i całe narody ujawniają swe zalety i wady w chwilach ciężkich. Pokaż mi jak się zachowujesz, gdy ci jest ciężko na duszy, a powiem ci, kim jesteś». Francji jest dziś ciężko na duszy, a zachowuje się jak wielka dama. Jest cicha, spokojna, skłupiona, umiarkowana, szlachetna i pełna godności. Godność narodu francuskiego ściśle zgadza się z tem co o jednostki nazywamy — godnością ludzką. Można by powiedzieć, że Francuzi biją się dziś «za godność naszą i waszą», a zwycięstwo Francji będzie zwycięstwem samej idei godności.

Wielki naród ma wielkie zalety i wielkie wady. Francuzi są wielkim narodem. I oto w ciężkim momencie dziejowym gdzieś przepadły ich wady, a na powierzchnię wystąpiły same niemal zalety. O wadach francuskich nie będziemy mówili, sami Francuzi lubią o nich mówić, a znają je doskonale. Ich wady pisarze nie chowali głowy w piasku, śmiało odkrywali wszystko co im się we Francji nie podobało, i dlatego ta Francja posiada tytuł wielkich pisarzy. Balzac, ten uniwersalny znawca wszystkiego co francuskie, ten nieubłągany tropiciel rodzimych wad — ma w Paryżu aż dwa pomniki. Jeden na prawym brzegu Sekwany, w luksusowej dzielnicy pomników Nuegingenów, drugi — na lewym, na Montparnasse'ie, w obozowisku nowoczesnej cyranerii. Wielcy pisarze francuscy nie lekali się prawdy, obażali ją bez wstydu, co stanowi dumę nawet tych, których ta prawda kompromituje. Odważa intelektualna Fran-

cułów, to cnota narodowa, uderzająca cudzoziemca nawet w czasie wojny. Zamiłowanie do prawdy pochodzi stąd, iż w tym kraju bierze się na serio — słowa. Niewątpliwie istnieją również Francuzi, którzy kłamią. Ale wrodzony Francuzom instynkt prawdy łatwo demaskuje kłamstwo. Demaskuje i ośmiesza. Zresztą Francuzi umieją kłamać z wdziękiem. Gdy spoglądają na znakomitą działalniczkę pisarską Gide'a, z najwyższym szacunkiem kłonią głowę przed tym wielkim Francuzem, który nie boi się wyznawać publicznie własnych błędów i pomyłek. Zarazil on już dwa pokolenia intelektualnej Francji pasją prawdomówności. Pasja ta tkwi zresztą immanentnie w każdym Francuzie który myśli, a wielcy pisarze tylko pomagają ją wyzwozić. Myślenie we Francji jest ulubionym sportem, podobnie jak wędkarstwo, i również jak ono bezinteresownym. Kto zna francuską wieś, widział nad brzegami byle jakiej wody postać starców i dzieci, mężczyzn i kobiet, całymi godzinami kontemplujące wodę, w której nie zawsze uda im się ulowić ryba. Jak wdędką dla samej przyjemności siedzenia nad wodą, tak są myśla dla samej przyjemności myślenia, bez względu na rezultat, chociaż też gruby ryb udało im się już wyciągnąć na ląd.

W tym kraju bierze się na serio słowa. Nawet takie, które gdzieś indziej są już pustymi dźwiękami. Tu słowo «ludzkość» wciąż jeszcze oznacza coś wzniosłego, coś za co warto dać życie, wolność jest skarbem zbyt bytym w życiu rewolucyjnym i nigdy nie zniesie żadnej formy ucisku, równość oznacza równość wszystkich szans, i dobrych i złych, a braterstwo nie przywodzi we Francji na myśl Kalina i Abła. «Na tej gościnnej ziemi zamieszkuje człowiek i to człowieka żywego. Szanujcie się życie bliźniego, ponieważ własne przeważnie bywa miłe. I jak miłe! Tu życie się z przekonania do życia umiera się bez rozkoszy. Francja nie jest krajem nekrofilów. Dlatego takie brzydkie są francuskie ematarte, trzeźwe, rzeczowe i pozbawione romantyzmu. Wyjątek stanowi chyba Piere Lachaise, «romantyczny nie przez nagrobki, lecz przez wielką ilość leżących pod nimi romantyków. Francja czci ludzi, którzy za nią oddali życie, ale wolałaby żeby żyli. Francja jest gościnna. Nie ukrywa swych liczących wdzięków przed obcym przybyszem.

liwe dla jednostki, ale przeciwnie pozycuje się je za dobroczynnie, za zbawcze, skoro dzięki ich działaniu człowiek przestaje być dziki, a staje się cywilizowany.

Zbyteczne jest dowodzić, że przymus społeczny zaciera znaczenie jednostki jako takiej, przez to że odbiera jej prawo swobodnego rozporządzania jej zdolnościami, jej doświadczeniem i samem jej życiem inaczej, niż na to pozwalają panujące w danym ośrodku prawa, zwyczaje, pisane lub ustnie podawane reguły postępowania. Zapewne, w stosunku do tych reguł, każdy człowiek jest wolny wewnętrznie: bo choć na zewnątrz musi się im poddawać, w sumieniu swem może zawsze ich nie przyjmować i żadna przemoc nie może go zmusić do ich uznania. Inna wszakże jest rzecz czuć się wolnym wewnętrznie, a inna móc realizować w świecie to wszystko do czego się jest zdolnym. O ile jednostka może na usprawiedliwienie tego co czyni i zamierza, powołać się na względy dobra ogólnego lub użyteczności społecznej, zgodnie z panującymi w danym miejscu i czasie poglądami na owo dobro i użyteczność, inicjatywa jej nie napotka na poważniejsze przeszkody. O ile jednak nie może umotywić w ten sposób swych projektów, o ile chce działać po swojemu, nie licząc się z wymaganiami ośrodka, w którym żyje, lub co gorsza, postępować wbrew tym wymaganiom, wówczas niechybnie spotka się z opozycją, skoro będzie tylko jednostką, wynosząc się ponad społeczeństwo, zasługując w ten sposób na zarzut *indywidualizmu*.

Wiadomo zaś jest wszystkim, jak ciężkie zarzuty czynione są dziś indywiduizmowi. Uważany on jest za jedną z głównych przyczyn nieładu w życiu wielu ludzi. Niekilku pisarzy widzą w nim nawet sprawcę wszystkich zbrodni, jakie dzieją się na ziemi. «Pierwsza znana w historii afirmacja indywiduizmu — pisze w «Dictionnaire apologique de la foi catholique» markiz de la Pin — wyrażała się w słowach Kalina: «Ażali jestem stróżem mego brata?» Najczęściej i najwykreszła jest ta, którą wyrażał umierający bandyta w następujących słowach: «Pragnęłam być moim własnym życiem».

Poczytywany za stałe niebezpieczeństwo dla ludzkości, indywiduizm ma być dla czasów obecnych wyjątkowo groźny i zgnubny. Wszystkie objawy kryzysu moralnego, jaki przeżywa dziś ludzkość, a więc anarchizm, bandytyzm, alkoholizm, pornografia, prostytucja, handel żywym towarem, mają mieć źródło w indywiduizmie.

I nie chodzi tu bynajmniej o nadmiar indywiduizmu, t. zn. o hipertrofię u pewnych osobników poczucia własnego ja, idącą w parze z zanikiem u nich wszelkiego zmysłu moralnego lub religijnego. W mniemaniu większości moralistów i socjologów, indywiduizm jako taki jest sprawcą i winowajcą wżwjemionych zbrodni i przestępstw. «Indywiduizm — pisze cytowany przed chwilą markiz de la Pin — jest to stan ducha anormalny,

w którym ignoruje się systematycznie związki i obowiązki społeczne, wyolbrzymia natomiast do wyżyn kultu poczucie własnego ja. Jest to stan anormalny, a nawet wręcz przeciwny naturze człowieka, skoro człowiek jest z natury istotą społeczną, nie mogącą żyć inaczej, niż w stanie społecznym».

Zbyteczne, bym rozwoził się długo nad różnymi objawami nieładu politycznego i ekonomicznego, przypisywanymi indywiduizmowi. Jedno słowo streszcza w sobie wszystkie te formy nieładu, a mianowicie *liberalizm*. Wystarczy wypowiedzieć to słowo, by zdać sobie sprawę z tego, jak znieawidzone jest powszechnie oznaczone przeznaczenie. Czyż nie nazywa się liberalizmem zbrodniczym i bratobójczym, ze względu na nieuczciwą konkurencję i wyzysk, do jakich system ten ma nieuchronnie prowadzić?

Wprawdzie nadużycia te kładzone są dziś najczęściej na karb nie liberałizmu, ale kapitalizmu. Niesprawiedliwość przypisywana kapitalizmowi ma być winą nie jednostek, ale całych klas ludzi, uciskających i wyszukujących z racji swego uprzywilejowanego stanowiska społecznego klasy niższe ludzi. W tem to znaczeniu Marx i jego uczniowie mówią o walece klas jako o jedynym sprzężeniu postępiej ludzkości, w którym to postępiej jednostka jako taka nie odgrywa żadnej roli.

Do takiego jednak traktowania sprawy przyczyniły się głównie wpływy filozoficzne, jakim Marx podlegał. Będąc uczniem Hegla, który jak wiadomo, gotów był napisać historię ludzkości bez podania jednego nazwiska, Marx w zbudowanej przez siebie teorii nie uwzględnił wcale roli jednostki.

W praktyce jednak liczy się on z nią bardzo. Gdy chodzi bowiem o walkę z kapitalizmem, Marx wskazuje szereg środków praktycznych, mających na celu nie tylko usunięcie instytucji liberalnych, ale wykorzenie kompletnie indywiduizmu, jako sprzyjającego rozwojowi kapitalizmu.

Taką samą wrogą postawę wobec indywiduizmu musi z konieczności zająć socjalizm, korporatyzm i wszelki ogólny system, opierający polepszenie warunków produkcji i pracy na reformach, narzuconych jednostce z zewnątrz. Tłumienie objawów ducha wolności musi tam figurować jako jeden z pierwszych punktów projektowanej reformy gospodarczo-społecznej. Punkt ten podkrywany jest przez obawę, by jednostka, uważająca siebie samą za cel wszystkiego co istnieje, nie poddała własnej wygodzie dobra innych ludzi. Taki bowiem stosunek do bliźnich rodzi nieuchronnie egoizm w moralności, anarchię w polityce, nieuczciwość zaś konkurencję i nieubłaganą walkę interesów w dziedzinie gospodarczo-społecznej.

Do powyższych złych następstw, przypisywanych indywiduizmowi, dołączyć należy szereg poważnych zarzutów, jakie stawiają mu filozofia, socjologia i etyka. W filozofii tak dawnej jak obecnej kwestja indywiduum zaliczana jest do zagadnień, któreimi umys-

lowi ludzkiemu zajmować się nie warto. Poglądy filozofów na te sprawy dadzą się sprowadzić do dwóch grup.

W mniemaniu jednych indywiduum jako takie jest prostru ludzeniem naszych zmysłów; nad złudzeniem tem umysł nasz powinien przejść do porządku, by zająć się wyłącznie abstrakcjami i ogólnikami, jako jedynym godnym i właściwym sobie przedmiotem.

W przekonaniu filozofów, należących do drugiej grupy, indywiduum istniejące rzeczywiście, a nawet jest ono jedynym bytem konkretnym, jest to jednak był niepoznawalny, niedostępny dla umysłu naszego, skoro ten może poznawać jedynie abstrakcje i ogólniki.

Jest rzeczą jasną, że tak uproszczone stanowisko filozofów wobec zagadnienia indywiduum nie rozwiązuje wcale tego zagadnienia. Nawet bowiem gdy uzna się indywiduum za złudzenie zmysłowe, pozostaje kwestja wytułmaczenia, jak powstaje w nas to złudzenie: w jaki sposób był powszechny zamienia się na indywiduum, lub innymi słowy, jak abstrakcja zamienia się na istotę konkretnie istniejącą. Naprawdę szukałbyśmy odpowiedzi na powyższe pytania. Jak to wykazałem w moich pracach, zwłaszcza w dziele p. t. «La pensee et le libre arbitre» (Paryż, Vrin, 1937), na powyższe pytania, dotyczące pochodzenia i natury indywiduum, filozofowie dają nam stale następującą odpowiedź: indywiduum jako takie jest niepoznawalne, t. zn. nie dające się wytłumaczyć.

To co nie udało się filozofom, obiecują nam wyjaśnić socjologowie. Zdaniem ich, zarówno istota jak i pochodzenie indywiduum znajdują swe wytłumaczenie w bycie kolektywnym. Nie tylko więc fakt istnienia każdej jednostki, ale i właściwości jej charakteru, jej skłonności, dążenia i upodobania, jej myśli, słowa i czyny — wszystko to pochodzi z tego wspólnego źródła, jakim jest byt kolektywny, już to rodzaj lub gatunek ludzki, już to społeczeństwo czy ludzkość. Jakkolwiek bądź się nazwie to źródło wszystkiego, czem jest człowiek-jednostka, lub co czyni, prerogatywy jego są tak wielkie, że można jedynie porównać je z prerogatywami Boga, pojmowanego jako Stwórcę i jako Opatrzność. To nam tłumaczy, dlaczego np. w przekonaniu Durkheim'a bóstwo i społeczeństwo stanowią jedno.

Z punktu widzenia takiej teorii, co znaczyć mogą postulaty indywiduizmu, przypisujące jednostce znaczenie i wartość większe nad te, jakie posiada społeczeństwo? Same te postulaty czyż nie są dowodem głębokiej niewdzięczności jednostki względem społeczeństwa, niewdzięczności, której też jednostka nie może naprawić inaczej, niż poświęcając się całkowicie na ołtarzu społeczeństwa?

Obowiązek takiego poświęcenia wskazuje jednostce etyka socjologiczna. Powołując się na wywody filozofów i socjologów, usiłuje ona wpoić w umysły i serca przekonanie o szkodliwości indywiduizmu i o obowiązku moralnym, aby każda jednostka poświęciła się całkowicie społeczeństwu. Obowiązek ten ma być oparty na sprawiedliwości, skoro część należy do całości.

«Jednostka istnieje dla społeczeństwa, ponieważ społeczeństwo urabia ją dla siebie. Jednostka więc powinna oddać do użytku społeczeństwa wszystko co otrzymała od natury i od społeczeństwa, wszystko czem jest i wszystko co ma». Czytając te słowa, ma się wrażenie, że wypowiedział je socjolog-moralista nie wierzący w Boga. Tak jednak nie jest. Słowa powyższe wypowiedział katolik, twórca tradycjonalizmu, wicehrabia de Bonald. Jeżeli pogląd jego nie różni się wcale od poglądu na te sprawy ateusza Durkheim'a, to dlatego że w przekonaniu ich obu jednostka jest wytworem społeczeństwa.

Powie ktoś może, że podobne zasady głoszone być mogą jedynie przez etykę socjologiczną. W rzeczywistości jednak wszystkie etyki filozoficzne postulują poświęcenie jednostki społeczeństwu. Czyż wobec tak powszechnie uznanej zależności jednostki od społeczeństwa, dopuszczalne jest odwrócenie ich stosunku, w ten sposób że nie jednostka społeczeństwu, ale społeczeństwo jednostce powinno służyć w najważniejszych sprawach, jaką jest spełnienie jej powołania? Wystarczy wygłosić taką zasadę, by się przekonać, jak wielki protest wywoła ona wśród ludzi najrozsądniejszych przekonań, którzy zwałczają ją będą jako objaw niebezpiecznego indywiduizmu. Ten protest daje miarę trudności, jakie jednostka napotka w najblizniejszych krajach, gdy w miły najbardziej słusznych wymagań swego jestestwa, zechce iść swoją drogą. Zbyteczne dowodzić, że w państwach totalnych musi się ona wyrzec całkowicie tej drogi, jako wręcz przeciwnie nieograniczonej, a wszystkie dziedziiny życia rozciągającej się, władzy państwa».

Oto jak wygląda w teorii i w praktyce największe niebezpieczeństwo zagrażające dziś jednostce ludzkiej jako takiej. Czy niebezpieczeństwo to jest nie do zwalczania? Czy jednostka nie ma sposobu, by zabezpieczyć się od zewnętrznych presyj i zapewnić sobie możliwość swobodnego rozwoju najlepszych swych możliwości wewnętrznych? Nie wątpię o tem ani na chwile, rozwierając jednak tę odpowiedź odkładam na kiedy indziej.

JOZEF WITTLIN. X. AUGUSTYN JAKUBISIAK.

JOZEF WITTLIN

Dlaczego jestem frankofilem

Na to pytanie mógłbym odpowiedzieć grubym tomem, a moi pobliżwi czytelnicy wiedzą, ile lat musiałbym na to zużyć. Chciałbym jednak już dziś dać skromny wyraz mej wielkiej wdzięczności za gościnę w kraju, do którego odniosłem się z podziwem na wieloletnią gościną stała się przynusowa i bezterminowa.

W piśmie, którego wojennym potokiem jest obecne, w piśmie oddalonem o tyle kilometrów i tyle wrogich granic od zombardowanych drukarni, skąd szły w świat «Wiadomości Literackie», nieraz stawilem urode Francji, a zwłaszcza wielkie zalety francuskiego umysłu. Chętnie opowiadałem polskiemu czytelnikowi ile zawdzięczam dobroczynnej atmosferze tego kraju, którego wiosny pachną poezją. Nieraz zdawałem sprawę z niezwykłych wrażeń, odniesionych we Francji, z wielkich wydarzeń literackich na tym, biogostawionym dla wszelkiego pisarstwa terenie. Miko mi wspomnieć, że pierwszy w Polsce sygnałowałem wschodzące gwiazdy Bernanosa i Greca.

Byłem frankofilem wówczas gdy frankofilja nie była u nas w modzie, wbrew naturalnym skłonnościom polskiego umysłu, który zawsze regenerował się w zetknięciu z iacim. W ostatnich latach polskiej niepodległości skromna moja osoba często bywała «retrugie» we Francji. Gdy różnorodnie barbarzy dochożdziły u nas do głosu i zagłuszały wszelką rozsądną myśl, pakowalem manatki i unosiłem głowę za Ren. Chowałem się pod opiekuńczą zapaskę pięknej Marjanny, starej a wiecznie młodej matrony, o oczach onobędnych jak sama «la Raisson». Od zbawczego chłodu tych oczu robiło mi się ciepło na duszy.

Za przeproszeniem panów filozofów i historyków, wydaje mi się iż Francja oraz jej klarowny język są starsze od samego Rzymu i samej łaciny. Istnieje duże prawdopodobieństwo, iż owym wspólnym językiem, jakim ludzkość posługiwała się przed budową wieży Babel, był właśnie francuski. Wskazywałby na to stosunek Para Boga do natury i kultury francuskiej, stosunek wybitnie protekcyjny. Pewien inteligentny, choć przetrwoty Niemiec zatytułował jedną ze swych książek: «Czy Bóg jest Francuzem?». Prawdopodobnie — tak.

Po wizycie Babel pszyższło na świat wielkie niebezpieczeństwo ku uciesze lingwistów i poli-

głotów. Zarośli od narodów, a po obecny dzień wojnie przekonany się zapewne wszyscy, że największym niebezpieczeństwem i plagą ludzkości są narody. Dwa tylko narody wyprzedziły pod względem kłamstwa: starożytnych Greków i nowożytnych Francuzów. Ale niestety, nie mam nato żadnego wpływu.

Francuzi nie otrzymali od Boga swych wielkich przywilejów za darmo. Bóg nie zrobił Francji prezentu z jej charakteru i kultury. Za wszystko co zdobyła, musiała Francja drogą płacić — pracą i krwią. Wszystkie wolności, jakie się w tym kraju rozwinęły, zostały przez Francuzów wywalone.

Znaleni i kołachem ten kraj w latach 1918—1938, w okresie, słusznie zwanym do pewnego stopnia — pokojem. Teraz po raz pierwszy mam sposobność żyć we Francji w czasie wojny. Podobnie jak jednostki, tak i całe narody ujawniają swe zalety i wady w chwilach ciężkich. Pokaż mi jak się zachowujesz, gdy ci jest ciężko na duszy, a powiem ci, kim jesteś». Francji jest dziś ciężko na duszy, a zachowuje się jak wielka dama. Jest cicha, spokojna, skłupiona, umiarkowana, szlachetna i pełna godności. Godność narodu francuskiego ściśle zgadza się z tem co o jednostki nazywamy — godnością ludzką. Można by powiedzieć, że Francuzi biją się dziś «za godność naszą i waszą», a zwycięstwo Francji będzie zwycięstwem samej idei godności.

Wielki naród ma wielkie zalety i wielkie wady. Francuzi są wielkim narodem. I oto w ciężkim momencie dziejowym gdzieś przepadły ich wady, a na powierzchnię wystąpiły same niemal zalety. O wadach francuskich nie będziemy mówili, sami Francuzi lubią o nich mówić, a znają je doskonale. Ich wady pisarze nie chowali głowy w piasku, śmiało odkrywali wszystko co im się we Francji nie podobało, i dlatego ta Francja posiada tytuł wielkich pisarzy. Balzac, ten uniwersalny znawca wszystkiego co francuskie, ten nieubłągany tropiciel rodzimych wad — ma w Paryżu aż dwa pomniki. Jeden na prawym brzegu Sekwany, w luksusowej dzielnicy pomników Nuegingenów, drugi — na lewym, na Montparnasse'ie, w obozowisku nowoczesnej cyranerii. Wielcy pisarze francuscy nie lekali się prawdy, obażali ją bez wstydu, co stanowi dumę nawet tych, których ta prawda kompromituje. Odważa intelektualna Fran-

cułów, to cnota narodowa, uderzająca cudzoziemca nawet w czasie wojny. Zamiłowanie do prawdy pochodzi stąd, iż w tym kraju bierze się na serio — słowa. Niewątpliwie istnieją również Francuzi, którzy kłamią. Ale wrodzony Francuzom instynkt prawdy łatwo demaskuje kłamstwo. Demaskuje i ośmiesza. Zresztą Francuzi umieją kłamać z wdziękiem. Gdy spoglądają na znakomitą działalniczkę pisarską Gide'a, z najwyższym szacunkiem kłonią głowę przed tym wielkim Francuzem, który nie boi się wyznawać publicznie własnych błędów i pomyłek. Zarazil on już dwa pokolenia intelektualnej Francji pasją prawdomówności. Pasja ta tkwi zresztą immanentnie w każdym Francuzie który myśli, a wielcy pisarze tylko pomagają ją wyzwozić. Myślenie we Francji jest ulubionym sportem, podobnie jak wędkarstwo, i również jak ono bezinteresownym. Kto zna francuską wieś, widział nad brzegami byle jakiej wody postać starców i dzieci, mężczyzn i kobiet, całymi godzinami kontemplujące wodę, w której nie zawsze uda im się ulowić ryba. Jak wdędką dla samej przyjemności siedzenia nad wodą, tak są myśla dla samej przyjemności myślenia, bez względu na rezultat, chociaż też gruby ryb udało im się już wyciągnąć na ląd.

W tym kraju bierze się na serio słowa. Nawet takie, które gdzieś indziej są już pustymi dźwiękami. Tu słowo «ludzkość» wciąż jeszcze oznacza coś wzniosłego, coś za co warto dać życie, wolność jest skarbem zbyt bytym w życiu rewolucyjnym i nigdy nie zniesie żadnej formy ucisku, równość oznacza równość wszystkich szans, i dobrych i złych, a braterstwo nie przywodzi we Francji na myśl Kalina i Abła. «Na tej gościnnej ziemi zamieszkuje człowiek i to człowieka żywego. Szanujcie się życie bliźniego, ponieważ własne przeważnie bywa miłe. I jak miłe! Tu życie się z przekonania do życia umiera się bez rozkoszy. Francja nie jest krajem nekrofilów. Dlatego takie brzydkie są francuskie ematarte, trzeźwe, rzeczowe i pozbawione romantyzmu. Wyjątek stanowi chyba Piere Lachaise, «romantyczny nie przez nagrobki, lecz przez wielką ilość leżących pod nimi romantyków. Francja czci ludzi, którzy za nią oddali życie, ale wolałaby żeby żyli. Francja jest gościnna. Nie ukrywa swych liczących wdzięków przed obcym przybyszem.

JOZEF WITTLIN. X. AUGUSTYN JAKUBISIAK.

*) Wypadki późniejsze w kraju naszym wykazywały, że niebezpieczeństwo to nie jest wcale urojone, a samo zagadnienie jest aktualne. Było ono i niestety, dziś jest — nieaktualne. Było ono i niestety, dziś jest — nieaktualne. Było ono i niestety, dziś jest — nieaktualne.

IGNACY
MATUSZEWSKI

U ŹRÓDEŁ SŁABOŚCI

Być może, że nie warto tego czynić. Dnia 1 września weszliśmy wszyscy w ciemny tunel dziejów. Niewiadomo, nie sposób zgadnąć co czeka nas u wylotu. Glob ziemski cały, wirując, zanurza się poczyna w ciemnym, olbrzymim otworze, który prowadzi ze świata jaki opuszczamy, jaki już opuściliśmy, w świat nowy, nieznan. Czy warto w takiej chwili wracać myślą do przetrzytych lat, szukać w nich błędów, robić rachunek sumienia? Być może, że nie warto. Być może, że na nie się to nie zda, nie pozwoli wyciągnąć żadnej nauki, która kiedyś tam, u nieznannej mety byłaby przydatna.

A jednak trudno tego nie czynić. Szukanie własnego grzechu jest nieuniknioną męką wszystkich, skazanych na czyszczenie. Kiedy i jak stało się to, co się stało, gdzie jest początek tych okrutnych dni, co przemijają teraz nad Polską w mroźnej grozie, nocy bezsenności od zwątpienia i nadziei? Miliony sumień ludzkich zmagają się z tym pytaniem. Gdyby znalazł się ktoś, kto by potrafił, odrzuciwszy wszelką goręć, gniew, uprzedzenie, odsunawszy wszystko co jest osobiste, wórnę, pozorne, płytkie — odnaleźć istotną przyczynę naszej słabości, odsłonić ją i ukazać ponad wszelką wątpliwość — ten oddałby narodowi nieocenioną przysługę: pozwoliłby zniszczyć korzenie słabości z psychologii narodu. Niema tego proroka. Kiedy zaś sami zmagamy się z tym pytaniem — mimo wszelki wysiłek, by sięgnąć głębiej niż powierzchowność, niż przypadkowość, zawsze jesteśmy w stanie ująć tylko jedną z wielu przyczyn, tylko część większej całości, tylko jedno pasmo warkocza.

Rozważania poniższe pisane są z pełnej świadomości tych prawd. Pierwszej, która mówi, że niewiadomo, czy w nowym świecie, jaki wyłoni się kiedyś spod narastającej zwolna fali Wielkiego Przepływu — dawne doświadczenia zadają się na cokolwiek. Drugiej, która wie że rozważania te nie docierają do jądra rzeczy, że niedość próbną tłumaczyć zbyt wiele, znając zbyt mało. Powinny być czytane z uprzedzeniem sobie tych zastrzeżeń.

Jedną z przyczyn słabości Polski było jej ubóstwo. Jedną tylko, nie jedną — ale nie najmniejszą. Widzieliśmy je własnymi oczami w miastach, których żadne działo nie broniło przed spadającą z nieba śmiercią, w szpitalach bez opatrunków, w wojsku bez samolotów niemal. Milion zgórą dzieci bez szkół i 338 dział przeciwlotniczych na 388 tysięcy kilometrów kwadratowych — to dwie cyfry, jak nawias ubóstwa, zamykają naszą rzeczywistość. Napewno można było wewnątrz tego nawiasu inaczej, lepiej ustawić rzeczy, surowszą dawać im kole, staranniej unikając najgorszego marnotrawstwa: marnotrawstwa tworzenia rzeczy niepotrzebnych. To poprawić mogłoby bardzo wiele — ale nie wszystko. Byłoby to ubóstwo rozumne — miast ubóstwa lekkomyślnego. Ale byłoby to ubóstwo.

Geografia i historia nie były dla Polski łaskawe. Przeciętnie urodzajne są role, szczupłe i neurozmaicone kopaliny, trudno dostępne wielkie drogi bogactwa: oceany. Macochą od wieków była nas historia, czyniąca z całego kraju krwawe pole wielkich wojen o wolność. Mielśmy jednak osiemnaście lat pokoju. To mało w porównaniu z wiekami, które upłynęły od chwili, gdy ostatni żołnierz obcy stąpił na angielską ziemię, niewiele wobec lat pokoju, jakie przeżyła Francja pod panowaniem ostatnich Ludwików, ułamek stulecia, w czasie którego Niemcy nie zasnęli najazdu. Ale jednak w ciągu tych lat osiemnastu, w ciągu tej krótkiej wiosny tak bujnie, tak gwałtownie trysnęły pędy w tyłu kierunkach, tak szybko w tysiącu dziedzin technika, talent, pomysłowość, organizacja dogoniła i przegoniła niekiedy innych — że nad całem życiem polskiem ciążyło coraz mocniej uczucie nieprzemijającego ubóstwa jako czegoś niezrozumiałego i nieznośnego. Odczuć to było słusne. Mokra na ugorze przy chudych krowach małutka, szara plachta okryta pastuszką — to był skulony, bezwolny żywy symbol. Jej dziecięcimi, naiwnymi oczami patrzył w nasze oczy niemy wyrzut sumienia.

Były przyczyny naszego ubóstwa nieuniknione, leżące poza nami. I były przyczyny leżące wewnątrz, w nas samych, w naszych postanowieniach. Z tych najważniejszych zdaje mi się być podział społeczeństwa polskiego na część uprzywilejowaną i część upośledzoną, na tych, którym dano warunki rozwoju, i tych, którym je odebrano. Ten proces przywilejowania i upośledzania — był procesem ciągłym. Trwał nieprzerwanie podczas wszystkich wahań ustrojowych, podczas wszystkich walk politycznych, podczas panowania wszystkich régime'ów, niezależnie od tego, kto sprawował władzę, kto miał większość rozstrzygającą w stanowieniu praw, kto je uchwałiał i kto je obalał. Proces ten był procesem milczącym i ukrytym. Istniała niepisana zgoda, aby go nie ujawniać, zgoda spod której powszechnego wyroku wylamywały się tylko jednostki, głosy wołające bez echa. Proces ten biegł niemal poza świadomością społeczną — tak starannie maskowano bieg rzeczy przed sobą, tak czynnym instynktem wyolbrzymiano pewne zjawiska, a bagatelizowano inne, że obraz rzeczywistości w umyśle inteligencji polskiej odpowiadał jej życzeniu, ale odbiegał od prawdy. Kto zdawał i kto zdaje sobie dziś sprawę, że jednym z głównych powodów bolesnego, tragicz-

nego niemal przebiegu przesilenia światowego na terenie Polski było niedostateczne prawie, a dziś całkowicie zapomniane zarządzenie z początków 1928 r. o podniesieniu cel przez ich waloryzację? Kto wie w Polsce dziś jeszcze, że prowincja, do której dopłacał każdy polski chłop i każda baba z Kurpiów w cenie każdego gwoźdźka, każdej podkowy — był bogaty, dymiący Górny Śląsk?

Proces ten biegł z nieodpartą, żywiołową siłą, niezależnie od zmiennych układów politycznych, ponieważ inteligencja polska utożsamiała swoje interesy z interesami ludności niemieckiej, interesami biurokracji, związków zawodowych, karteli — biurokracji przecież przede wszystkim — i z tępym uporem próbowała oprzeć swój dobrobyt i rozwój — na upośledzeniu, na wydziedziczeniu, na nieopłacalności rolnictwa. Piłsudski powiedział, że dwukrotnie podejmował walkę z urzędnikami, że dwukrotnie ją przegrał i że to uważa za największą klęskę swego życia. Sądziłem i sądzę, że jest w tym zdaniu nieświadomione jasno odczucie, iż ta warstwa pomimo jej patriotyzmu i uczciwości, czyniła Polsce jakąś bardzo wielką krzywdę. Krzywda ta polegała, moim zdaniem, na osłabianiu państwa przez osłabianie najlicniejszej warstwy niezależnych wytwórców. Krzywda ta polegała dalej na skutecznych usiłowaniu, aby wobec sumienia własnego, sumienia mas, sumienia narodu, ukryć prawdziwe przyczyny i skutki, motyw i cele swego działania — w kurzu frazeologii. Spadkobiercy Piłsudskiego starannie zapomnieli też jego myśl. Stali się najbardziej bezwstydnym wyrazem wszechmocy biurokracji, najwymowniejszymi

heroldami frazesów, pokrywających jej egoizm. Przyspieszyli, zaognili i do karykatury doprowadzili ten fałsz, jaki tkwił u podstaw polskiej gospodarki. Ale rozsiadli do olbrzymich rozmiarów kłamstwo, które już istniało. I w tem na nikły napotykali opór.

Zdumiewające jest jak różnemi korytami biegł ten wysiłek, jak z różnaitych wychodząc założeń bezwiednie do jednego zmierział, jak ogarnął i ukształtował psychologię całej niemal inteligencji. To samo w gruncie rzeczy mówili — z nielicznymi wyjątkami — wszyscy, bez względu na to co mówili. Agitator wiecowy, który krzyczał przed chłopami na «panów», niszczył możliwość powstania jednolitego frontu rolniczego i maniał ludzi podziałem majątku odwracał ich myśl od stokroć ważniejszego podziału dochodu, rozbrajał pokrzywdzonych przez skłócenie ich między sobą. Publicysta Lewjatana, dowodząc wykrętnie, że wysokie ceny cukru i żelaza konieczne są dla «obrony państwa» — dopomagał wydziedziczać właścicieli ziemskie, obciążać obciążonego. Mniej lub więcej szczerzy heroldzi «świata pracy» zdawali się zapominać o tem, kto będzie dźwigał na zgarbionych plecach ciężar tych zamków powietrznych, jakie wznosił się im podobało. Stawała łatwo zgoda narodowa na każdy przywilej — z wyjątkiem przywileju większości. Były sanatorja, darmowe bilety, darmowe gimnazja, darmowe obozy — ich koszty, ale nie dla nich, były sztywne ceny węgla, nawozów, które on musiał płacić; sztywna waluta, która z niego wysysała soki; taryfy, które on musiał w ostatecznym wyniku wyrobić; wypłacalność bankowa, którą on musiał

zapewnić. Powstała cała literatura «dynamiczna», pełna hasel o «rozbudowie», «pięciolatkach», «piętnastolatkach», gubiąca — świadomie czy nieświadomie — główne zagadnienie gospodarki polskiej: upośledzenie rolnictwa — w wykresach, rachunkach, planach, choć tak łatwo było inaczej i przede niedoli tej zapobiec. Spryskięty się interes i naiwność, entuzjazm i egoizm, sobokostwo i nieświadomość, aby nad wsia ronić leżkę, ale przemileć środki mogące jej dole poprawić. Nikt nie mógł się temu przeciwstawić, gdyż miał wówczas przeciw sobie zjednoczone: bogaty mechanizm Lewjatana i jeszcze groźniejszą, milcząca ale wroga tę warstwę, której rola wedle określenia Brzozowskiego, polegać powinna na uświadamianiu narodowi procesów, jakie w nim zachodzą — miał przeciw sobie inteligencję. Były wyjątki, byli ludzie, którzy podejmowali tę walkę. Osamotnieni zawsze — Buzek, Adam Krzyżanowski, Tenenbaum, Stecki, Józef Poniatowski, Kołodziejski i niewiulu, niewiulu innych.

Leleko! myślałem o dwudziestokilkomilionowej masie wiejskiej, nasuwał się obraz oślepionego olbrzyma. Olbrzymia, któremu wykluto oczy i który musi stapać po ciemności, wyciągając przed siebie ogromne, beznadziejnie i kierując się nawołującami go głosami. Olbrzymia, który nie wiedział czego ma chcieć i dokąd iść, bo najczęściej nawołujące go głosy mówiły, że ważne jest to co ważne nie było. To nie tylko minister Poniatowski przez kłamliwą wizję dzielenia tego, co naprawdę już od dawna zostało podzielone, przez program krajania Polski na spłachetki, dla mógł może dostateczne, dla życia

za małe — pragnął zdobyć zaufanie ociemniałego kolosa. Tytu innych czyniło to przedtem. Bezczylnie zwiwały potrzebne ramiona wedy gdy najgorsze zakładano na nie pęta: w r. 1921 — kiedy zachowano rolnicze cla wywozowe z okresu wojny, w r. 1925 — kiedy na zbyt wysokim poziomie ustabilizowano zbytość, w r. 1928 — kiedy waloryzowano cla, w r. 1936 — kiedy odrzucono konieczną dewaluację. Olbrzym nie poruszał się — bo nie rozumiał. Tak jak nie rozumie tego napewno dziś jeszcze większość moich czytelników.

Skutki? Skutki widzieliśmy teraz. To nie 35-milionowy naród polski walczył z 90-milionowym narodem niemieckim. To 8-milionowe gospodarstwo państwa uległo 90-milionowemu. Stosunek ludności był 1:3, stosunek sił gospodarczych — 1:11. Polska była metropolją kartelowo-urzędniczą i szarą kolonją chłopską. Istniały ułamek, bogate feudalne księstwa węgłowe i żelazne — i dawna, piastowska, kołodziejka, drewniana wieś. Istniały dwa światy żyjące na różnych poziomach: świat urzędniczo-miejski, gdzie pięćdziesięciogroszową dawało się stróżówką za otwarcie bramy — i pełne bezczynnych rąk polski, gdzie nie tak dawno za pół złotego można było mieć cały dzień roboczy.

Istniał świat przywileju, w którym były własne szczyty i własne niziny, własna arystokracja i własny proletariatus, ale którego całość wydziedziczenia została wycięty jak płaskowzgórze, odcięte prostopadłe spadającymi ścianami od ubogiej, zamglonej równiny ścielącej się w dół, wielkiej i prawdziwej równiny polskiej rzeczywistości. Tam, na płaskowzgórzu, była metropolja, był 8—10-

milijonowy kraj europejski, zakryty od burz i wichrów murami wysokich cel, umów koncernowych, taryf, postanowień dewizowych, kontyngentowanych kredytów, zabezpieczony przed współzawodnictwem świata, przy pomocy złożonego mechanizmu ustaw i przepisów, ograniczeń i przywilejów, sztywnych cen i sztywnych plac, zezwoleń przywozu i wywozu, zapomocą narastających latami jak rafa koralowe, przy wszystkich rządach, wszystkich régime'ach, wszystkich kombinacjach politycznych, panacza ochronnego, wyworzonego w drodze biologicznego wydzielenia przez symbiozę biurokratyczno-wielkoprzemysłową skorupę przywilejów. U podnóża zaś tej metropolji leżała, szumiąca żłobami i lasem wewnętrzna kolonja polska, kraj słomianych strzech i nieprzebytych dróg, kraj niezatrudnionych rąk i przeludnionych szkół, kraj, który w słonym pocie musiał walczyć ze współzawodnictwem świata. Gdyż żadne państwo, żaden kraj uchronić nie przed nim w całości nie może. Tam, na tej nizinie, walczono o podział dochodu światowego — z fermerem Stanów i Kanady, z hodowcą australijskim, z żyźnością ziemi rumuńskiej, z rosyjską niewolniczą pracą, walczono za siebie — i za całą szklaną kopułą przed niepokojami przykrytą — metropolją.

Nie można uciec od współzawodnictwa, nie można ukryć się przed nim. Przyszedł dzień, kiedy zdawać wypadło rachunek. I wtedy pękł szklany dach nad kruchą pseudorczywistością. Stosunek ludzi, którzy żyli w nole przeciw najędźcy, był jak 1:3. Stosunek samolotów — jak 1:10. Stosunek broni mechaniczowanej — jak 1:15. Mała, zamknięta metropolja, żyjąca w promieniach sztucznego słońca, w zaciszu sztucznego spokoju — okazała się taka jaka była: 8—10 milionowym państwkiem. Doremnie olbrzym, o chciał walczyć, szukał broni polężnymi rekami — znajdował za krótki miecz, dziecinna szabelka dla ramion wielkoluda.

Podział Polski na sześćpał metropolje i wielką nizinę nieopłacalnego trudu — pomniejszył Polskę. Skurczył jej siły do jednej trzeciej. To, co wyrwał pług w ciągu dwudziestu lat wolności nie zostało przez żyjącą z pracy tego pluga metropolje zamienione na siłę. Wewnętrzna kolonja polska dawała swój tani trud nie dla pomnażania potęg własnej metropolji, lecz dla powiększenia jej dobrobytu i — więcej jeszcze — jej rozmiarów. Nie miał celowo kapitalizować wysiłku rolniczego świat biurokracji. Umiął tylko bezustannie się pomnażać. Nie mógł celowo kapitalizować świat wielkoprzemysłowy, którego zyskowość sama oparta była na ograniczeniu produkcji. Metropolja żyła — nie tworzyła. Pług w Polsce krajajł ziemię zawsze prawie dla teraźniejszości, nie dla przyszłości. Dziś to wszystko już przeszłość. Dziś najokrutniejsze losy są udziałem inteligencji polskiej. Dziś najkrwawiej — i po bohaterku — płaci ona swój rachunek historii. Dziś jeśli wolno przeszłość rozważać, to nie poto, by komukolwiek cokolwiek wyrzucić, ale poto, by pojąć istotę własnych błędów, aby choć rozumieć to, w co nie chce się wierzyć.

Jutro może wysunąć inne zupełnie zagadnienia. Nauka przeszłości na nie się może nie zdać. Może inaczej, może zgoda odwrótnie wyglądać będzie wewnętrzna mapa Polski, która powróci.

A jednak poruszone tu zagadnienie jest wciąż jeszcze aktualne. Nie w naszej wewnętrznej skali. Ale w wielkiej skali międzynarodowej. To bowiem co działo się u nas — działo się i w świecie całym. Historia minionych od poprzedniej wojny lat dwudziestu — jest historją odepchnięcia przez Zachód tego ubożego olbrzyma, który jeden mógł Zachodowi pokój zapewnić. To nie o Polskę już tylko chodzi — to samo dotyczy Węgier, Jugosławji, Rumunji, Bułgarji, Litwy. W r. 1939 przysły angielskie gwarancje. Ale przez lat dwadzieścia, nie deklaracji parlamentarna, nie sojuszem, nie wojną można było gwarancje te naprawić budować. Wielkie metropolje świata, tak jak nasza wewnętrzna metropolja, zanikały się przed ubogim Wschodem, nie chciały troszczyć się o poziom jego życia, chciały drogo sprzedać, a tania i mało nabywać, chciały sobie zabezpieczyć dobrodziejstwa spożywania tą samą sztuczną drogą przepisów i układów, kredytów i barjer celnych. Te same wielkie metropolje, które w r. 1919 układały mapę Europy, później przez lat dwadzieścia lekkały się dopomocą tym właśnie, co o nowy, słuszniejszy układ granic gotowi byli walczyć. I te same metropolje, odsuwające się od wschodniego ubóstwa, obojętne na bezskuteczny trud rolnika, orzącego ziemię między Bałtykiem i Adriatykiem, między Bałtykiem i morzem Czarnem — dawały, niemal bez ograniczeń, wszystko co trzeba wczorajszemu wrogowi, ale onegdajszemu sąsiadowi przy stole wielkich tego świata — Niemcom. Ten sam błąd, jaki powstał w dziesięciokrotnie powiększonym oziarnie w skali światowej. Jeśli brakło broni rękoma olbrzymia, które jej szukały, to także i dlatego, a może i dlatego przedewszystkiem, że mogli w wielkiej metropoljach świata czynić te same błędy, jakie u nas nam dyktował taki sam krótkowzroczny egoizm.

To zagadnienie nie minęło. I nie minie nawet po zwycięskiej wojnie. I dlatego to, co tu zostało napisane, nie dotyczy tylko przeszłości, ale i przyszłości.

W połowie października opuszczam Zwierzyniec nad Wieprzem, ukryty w lasach Zamyszczyzny. Do ostatniego dnia mojego w nim pobytu, a raczej nocy, rozbrzmiewały salwy dział, stukotały karabiny maszynowe, rozpały się na nabie lony.

Jestem pewny, że wielu z tych, którzy nopsali na owym ganku gościnnego dworu, walczyło tam w mrocznych ostępach lasów. Najpewniej zaś kapitan J., prawdziwy człowiek wojny.

Gdzie dzisiaj jest — nie wiem. Wierzę że nie złożył broni.

RAPAŁ MALCZEWSKI

IGNACY MATUSZEWSKI

RAPAŁ MALCZEWSKI

BEZSILNE SŁOWO

Jakże trudno dobrać zespół słów, których dźwięk i znaczenie byłoby w wielotyśmiej pomniejszeniu równoważnikiem kosmicznych ciężarów zdarzeń, minionej i narastającej rzeczywistości. Łowimy nieważkie plewy, przebieramy je — sypią się one nam przez pale, rozmuchuje je wichler poczucia prawdy, bijący w nasze sumienia. Walczymy i ginimy w obliczu zjaw, powaleni bezsilnym oniemieniem, głodem wyrazu. Cóż z tego że wiążemy słowa w korowody zdań, zdrewniałe mune owadów, które przagnęlibyśmy ożywić krwią gigantów! — Co mamy uczynić aby wyłowiona z pamięci świata pulsowała w osoco naszych słów milionem drgnień, aby była żywym organizmem, tą niepowtarzalną jednością wszelkiego zdarzenia, danego nam na własność, wpatusza teraz, gdy stanęliśmy twarzą w twarz z nieogarnioną grozą tragedji narodu, trzydziestu pięciu milionów ludzi, żywych, rzeczywistych ludzi, żywego, uspaniałego narodu!

Jesteśmy beznadziejnie stając u samego podnóża zwaliska, dymiącego czarnejgłęboko zgłiszczami kleski. Tonicmy w potwornym cieniu ementaru naszych złud, stoczonej w roach nadziei, wgnieceniu w sam rdzeń nieszczęścia, którego jesteśmy niewolnikami.

Wojna, którą przegraliśmy, niosta nam w błyskawicznym pochodzie godziny, narzmiata ciężarem wietlu młotem, obłąnno bieg wydarzeń nieuczył prawidła perspektywy, zwałat obszar faktów, pokracznie złomy dziejów, stojących się poza czasem, uragających naszym osądom, wyhodowanym w cierpieniach dawno umarłej historii.

Wyrok zapadł w parę dni po wybuchu wojny. W drugiej połowie miesiąca ziemię Polski ostygła już w kostnicy urojonej podboju, wchłaniały krew zabitych żołnierzy, by szczytnie się znowu po wielokrot krwią mordowanych niewinnych obywateli. Wódz uszedł z pola walki, sztandar bohaterstwa polskiego wojska zbrzyzały błotem kota uciekających limuzyn.

Nam, świadkom choćby mimowolnym, nieusłepiałemu oporu i zadawanym Niemcom niechybnych ciosów, należy obmyć go i rozwinąć, aby załopał na powieście sławy.

Jak to uczynić jednak, aby utrwalił jednocześnie to wszystko co było współudziałem żołnierza polskiego, walczącego w tej wojnie? — Słabość technicznej oręża, jłód, wielonocony brak snu, brak lekarstwej pomocy, a w końcu koszmarnie poniesione klęski, niezastawione hańby, niwecznych nawet złud chwilowych zwycięstw. W kleszczach dwóch armij, czerwonej i brunatnej, umęczony nawskrosz, bit się już tylko o honor zaszczytnej śmierci, spokój wieczny, rzadko o zwłokę złożenia broni w ręce wroga lub sąsiada na karpackiej granicy.

Ab? prawdziwie uczynić zadose, należało by rozpać nad czytelnikiem jesienne niebo, błękitny ekran, przestępną krepą rozpaczy, wypełnić je błyskawicami potwornych, niesprawdzonych wieści, przekazać wszystkie dreszcze zniekanej ziemi, uzłoty i upadki dusz, ułtoczonych w widma ciała. A nadto jeszcze trzeba by w tej przestrzeni uwiecznić groźę śmierci, huczającej w moto-

rach bombowców, w zawierusze pocisków, w blasku pożarów miast, miasteczek, wsi. Nigdy nie wyrwiemy z tego piekła nieokaleczanego nerwu poszczególnych faktów. Wydarzy z żywego ciała, zamienia się w naszej dłoni w pisaną atramentem literaturę, zamiast aby ociekła gorącą krwią.

Sotłys miał konie dla nas gotowe. — Ino gospodarz zaprzęgnie — oświadczył i usiadł za stołem.

Byliśmy solidnie najędzeni — nogi wy-możone w studziennej wodzie, opatrzone wata, nie dokuczały. Rozpięta nas radość; od wroga dziełta nas przestrzeń czterdziestokilometrowa, wieczorem powinniśmy przekroczyć Bug.

Stalo się całkiem inaczej. Na drodze, po której ułokty się nielecnie wagał, powstał zamęt. Ludzie biegli z przeciwnego kierunku, zaczęto nagałać zauracać furmanki; ktoś machał rekami i krzyczał.

Wychodzimy przed dom, w obejściu spłoszony tłum. Ktoś nas objaśnia: na szlaku naszej przysiężki podróży, szosa przecina las. I oto w tym lesie stoją dwa tancerki niemieckie. Obsada czołgów nie puszcza nikogo dalej. Ogarnęła nas uświętość. Cóż za majęczenia, obłądne panikarstwo! Jedziemy sprawdź!

— Nie było pogo. Paru żołnierzy, rozbrojonych przez Niemców, zaczajonych w lesie, potwierdziło wiadomość. Tej niespodziance zawdzięczam kilka tygodni, spędzonych w ośrodku bitwy wycięskich dla naszego oręża. Miałem szczęście oplać zmortyzowaną dywizję wroga, uciekającą w popłochu, bnie w pobliżu miejsc, w którym rozgromiono ją do-kładnie.

Dn. 13 września stanęliśmy u kresu naszej wędrówki ku wschodowi. — Już nie potrzeba nam koni, panie sotłysie...

— Wiadomo — mruknął i skwęcił ku stodołom. My zaś poszliśmy do dworu, ukrytego w oąszcu starodrzewia. Z serdeczną nośnością wcielono nas do grupy dawniej przyoarniętych „bieżących”. Było nas dwadzieścia pięć osób zoonionych z całej Polski — tam we dworze. Około sześćdziesięciu kwatowało na folwarku. Owiała nas najświetniejsza tradycja polskiego ziemianstwa, ofiarności dój — ojczymno wobec wroga.

Czternasty wrzesień był dniem wypychania. Cisze błękitnego południa rozdarła raz tylko eskadra bombowców. Godziny upływały sennie — pachniały różę

na gazonie — w warzywnym ogrodzie zbierano pomidor... Tylko drogi były puste i pola. Następnego ranka o świcie zbudziły nas łomot i dudnienie motorów. Traktem od Tysowic, który sierpem obkładał park, płynęły zmortyzowane niemieckie oddziały. Tanki, tankietki, samochody pancerne, ciężarówki pełne żołnierzy, nakryte czarnym brezentem, motocykle, osobowe limuzyny. Z gazonu przed dworem, poprzez gąszcze żywopłotu migaly taśmy czołgów, pełzące sprzychy i opony pochodzą maszyn, noszących śmierć.

Mijał słoneczny dzień, łoskot i szcęk nie ustawał. Przyfrunęły wieści, że Niemcy rozładują chłopom papierosy, że wieść, napół ruska, wita ich kwiatami. Ten i ów walaający się uchodząca wdział ich zbliżka. Sama młodość, doskonale umundurowana, wypoczęta, pewna siebie. Zapadła noc i minęła, zajaśniał świt i pochód nie ustawał. Dopiero opołudniu droga się u-ciszyła. Martwy szlak ziemi był rozryty w wadoty, narzmiaty pagórkami, wystębnowany ornamentami żelaznej gąsienicy. Zagarnęła nas armia urogoj i zapewne przekroczyła już Bug. Prawda, że o-podał w sachryńskim lesie stał oddział polskiej kawalerji, któremu nasz gospodarz posyłał w nocy owies dla koni, siedział jednak cicho, jak mysz pod miotłą. Lada chwila pojawi się inna swołocz niemiecka, by objąć kraj w posiadanie.

Miętło znowu kilkadziesiąt złowrogich godzin. Nawiedzały nas tylko wieści znoszone zewsząd, smutne, pełne lęku, fala rdzawa: Warszawa walczy.

Dn. 18 września droga zadudniła znowu. Inaczej jednak — rytmem pośpiechu i przerażenia. Wality te same czołgi, wozy pancerne, samochody, motocykle. Z powrotem.

Motory jęczały wspinając się po wybojach, raz wraz ktoś z motocykli wędrował na ciężarówkę już pełną polamańców, ładując zaś na nim żołnierz — pod czarny brezent. Zepsute limuzyny toczyły się ciągnęte na linach. Dywizja uciekała na tęg na szwie.

Od tej chwili zaczęły się bitwy począwszy od Lipowca i Tysowic ku Komarowu, poprzez Tomaszów ku południowi, wzdłuż szosy Tarnawatka — Łabunie — Zamość.

Zbudził nas grom armat — od południa szerokiem półkolem huczota niebo, znowu poczęły nadlatywać bombowce, do szachrynia powrócił wójt i posterunek policji. Wraz z artyleryjską burzą na gazonie przed dworem jęły popasać oddziały naszej armji. W kuchni dzień w dzień

W NAJBLIŻSZYCH numerach „Wiadomości Polskie” drukować będą m. in. **Jana Lechonia** „Teraźniejszość i tradycja w literaturze polskiej”, **Józefa Łobodowskiego** „Porachunki z przeszłością”, **Marji Kuncewiczowej** „Lepówka” (fragment z powieści „Maz Róży”), **Zygmunta Nowakowskiego** „Listy z Ameryki”, **Heimanna Rauschniga** „Zwierzenia Hitlera” (w autoryzowanym przekładzie **Haliny Wierzyńskiej**),



Zamek królewski

nr. 51.512

Ruiny Warszawy



Teatr Wielki

nr. 51.511



Wieża kościoła Zbawiciela

nr. 51.504



Kościół ewangelicko-augsburski

nr. 51.507



Giełda

nr. 51.509



Gmach «Prudentialu»

nr. 51.505



Kościół O. O. Augustynów

nr. 51.504



Dom na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej

nr. 51.510

W archiwum Centrum Informacji i Dokumentacji, w czterech wielkich pudłach, zamkniętych jest kilkaset zdjęć fotograficznych skrwawionej Warszawy. Gdy się zdjęcia z pudeł wyjmuje i ogląda w świetle paryskiego dnia, wydają się nierealne i obce te obrazy nowej, straszliwej rzeczywistości rodzinnego miasta. Wiemy przecież dobrze o tych okropnych zniszczeniach, wiemy z niezliczonych opisów i opowiadań, teraz oglądamy je na fotografiach. Niemal dotykamy, okrutnie, barbarzyńsko, świętokradczo poranionych, okaleczonych murów stolicy, a jednak nie możemy uwierzyć, nie możemy się pogodzić z prawdą. Poprzez śmiertelnie obnażone sztachety stalowych więzów, przeżarte ogniem dachy i mury, pogruchtane wieże kościołów, poprzez mgłę, która przesłania nam oczy, widzimy Warszawę, taką jaka zachowała się w wypełnionem dla niej miłością sercu.

W najbliższym czasie u Flammariona ukaże się «Czarna księga okrucieństw niemieckich w Polsce», które obok szeregu dokumentów i opisów zawierać będzie bardzo wiele zdjęć zniszczonej Warszawy.

ALEKSANDER JANTA

FORTECE FRONTU

KORESPONDENCJA Z LINJI MAGINOT

Od pierwszego polskiego korespondenta wojennego na Zachodzie

W lutym, na linii.

Pułkownik siedział nad papierami, odsunął okulary na czoło, podniósł głowę:

— Więc tak, proszę pana, to jest wojna. Jesteśmy znowu na froncie.

A po chwili, nie bez akcentu rozbawienia w głosie, jakby jeszcze ciągle zaskoczony tem szczególnym wydarzeniem losu:

— Muszę przyznać, nigdy nie myślałem, że będę robił w życiu aż dwie wielkie wojny. Tyle że dzisiejsza jest inna. Dziwna, ciekawa wojna, na nowych zbudowanych podstawach.

Rozłożył mapę odcinka z czarną linią granicy. Siedzieliśmy w bibliotece starego opactwa, otoczonego ogrodem i zbozcami winnic pod śniegiem, gdzie w kraju alzackim. Na mapie zielone tło obszaru, po którym przechodzi granica, to wzgórze Wogezów. Ale pod linią granicy, płynącą przez te wzgórza, w odległości kilku centymetrów — aż ge-

metrowo, na zasięgi, zamaskowane zeschłymi pod śniegiem gałęziami. A już widać zastąpił inny rodzaj drucianych siatek. Przerwana na samej drodze równa płatanina drutów na kołkach spokojnym śniegiem przekreśla całą szerokość doliny, wynurza się na zbrocze przeciwległe, zachodzi za nie. I zaraz jeszcze jedno pasemko tych nitek stalowych, jakby odgałęzienie tamtego. Przy drodze posterunki. Tyle że samochód przejeżdża. Ale chok przejazdów czekają kozły z drucem kolczastym, stoją barjery stalowe i szyny gotowe do zagrodzenia przeprawy. Od drogi w lewo i na prawo ciągnie się fosa, o brzegach zlagodzonych nasypem śniegu — pułapka dla tanków. A dalej równą procesją kilku rzędów szyn wbitych w beton na sztorc rysuje

powoń fortecznych, nie połączony h ze sobą inaczej niż tylko chyba radjem, telefonem, no i ogniem. Czyli że termin «linja» jest niezupełnie ścisły. Linja bowiem przerywana jest wcale gęsto, podziemie fortece zbudowane jedynie w miejscach najdogodniejszych dla obser-

głębokiej, że się na niej załamać musi każde najsmielsze nawet i najtrwałsze uderzenie, biorąc pod uwagę wszystkie środki, jakimi dysponuje nowoczesna technika wojny.

A właśnie podjechaliśmy pod wejście najbliższej fortecy. Od pierwszego wej-

jemy jakie takie przejście. Zanurzenie w podziemia. Wrażenie katakumb trochę, ale katakumb ogromnych. Wrota stalowe już w środku, których zatrzaskanie odgradza wnętrze hermetycznie od reszty świata, a raz odgradzisz, dzięki organizacji wewnętrznej chroni dostownie od powietrza, głodu, ognia i... wojny.

Potem korytarz, pośrodku szyny kolejki której wagonikami podróżuje we wnętrzu fortecy żywność i amunicja. Porównywno charakter i organizację tej wgrzyzionej w głąb wzgórz okolicznych konstrukcji fortecznej do niuruchomego krążownika. Przyglądam się jej planom i słucham wyjaśnień dowódcy, który chodzi po jej wnętrzu z laseczką, jak gospodarz po swoim o-

morze strzelniczej o kilka pięter nad labiryntem korytarzy i pomieszczeń. W otworze strzelniczym sterczy kadłub podwójnego karabinu maszynowego, obok armatki przeciwpancernej, podwieszona na szynie u sufitu. Boki ścian zastawione skrzynkami z amunicją. Miejsca tyle ile dla obsługi. Załoga raczej w kombinezonach fabrycznych czy laboratoryjnych, niż w mundurze. Zresztą ubiera się każdy jak mu najwygodniej. Załoga z powieści Wellsa. Nie znają dnia ani nocy. Tutaj zawsze jest to samo światło i powietrze, tu są niedostępni, tu dysponują olbrzymim potencjałem zniszczenia, tu czuwają, mając podzielone doby na odcinki dyżurów i służb, każdy napamięć znając swoje zadanie i każdy tak wprawiony, że działać może prawie jak automat. Widok na kraj, nad którym panują matematyka obliczeń ogniowych, prowadzi jedynie przez szklane lunety celownicze, na karabinach i na armatce. W wąskim wykoju okolicy rysują się



Druty kolczaste

nr. 12.648

sto od nałożonych na zielen czerwonych znaczków i punktów, od strzałek oznaczających kierunki, od kółek i kwadratów otoczonych granatowymi obwódkami.

— Tędy przeszli w 70-m, tu byli w 14-m — pokazuje, przekreślając krzywą otwartą dłonią linię granicy i fryz pstrokatek znakowań na mapie. — Dzisiaj nie przejdą.

Położył na fryzie pięć palców i wsparł je jakby uderzając akord na tem barwnym zagęszczeniu plam i znaków geometrycznych.

— Tutaj na nich czekamy od początku.

I prawie z zalem, z odcieniem rozczarowania w głosie:

— Nie śmieli nawet spróbować!... Nawet spróbować...

Potem siedliśmy w samochodzie, Siwawy kapitan strzelców, który miał odtąd towarzyszyć mi na pierwszej linii, legł honorową zdobyt mając lat dwadzie-

się poprzez śniegi czarna nieukrywana zaporą przeciw tankom, szparagi, jak mówią Anglicy, więc tak: stalowa szparagarnia, niby otwarta długa szczeka ziemi, szczytująca nieprzejednane kły.

Gdyby nie te pociągające wzrok rzepłatanki druciane, które mackami drapiejących zasieków objęły w posiadanie pola i zbrocza i gonią się po nich, śniegiem teraz przyglądane nieco, trudno było uwierzyć naprawdę, że już jesteśmy oddawna na obszarze linii Maginot, już w obrębie zasięgu jej obrony i ognia, jej niespodzianek i jej niebezpiecznej potęgi. W krajobrazie niema niepokoju. Niema znaku życia ani nawet obecności ludzkiej. Prawda, że w całej miasteczka na tym obszarze i na sąsiednich są wszystkie ewakuowane. Na drogach spotyka się czasem samotnych wojskowych, upstrzonych plamami w tonie szaro-zielonym, jak salamandra, czasem ciężarówkę z podobnym łesieniem na budzie, czasem sznur mułów za



Zapory przeciwczołgowe

nr. 47.661

wacji i obstrzału, w nieregularnych odległościach i odstępach, posiadają różnego rodzaju uzbrojenie. Między nimi, w lukach i przerwach, zasadzono drobniejsze forty i blokhauzy, nie licząc organizacji stanowisk połowych i różnego rodzaju przeszkód. Główne ogniska i punkty oporu wiążą się w ten sposób w skomplikowane ale niesłychanie precyzyjne w organizacji pasmo podstaw ogniowych i umocnień różnego typu na całej długości granicy. Granica jest zresz-

czenia uderza rozmachem tego przedsięwzięcia, dokończonego mimo różnych koniunktur i różnych z pewnością poglądów na sens tej gigantycznej roboty, której wartość teraz dopiero, wbrew poglądom pesymistów, w całej swobodzie objawiła się i rysuje. I odrazu, kiedy się o tem myśli i mówi, formuluje się pytanie: co to kosztuje? I odrazu odpowiedź, przenosząca zagadnienie z rzędu gospodarczych na poziom obliczeń dziejowych, obrachunków na



Oficerowie angielscy na linii Maginot

nr. 19.434

cia w tamtej wojnie, był pod Verdun i był Niemców w ciągu całych czterech lat jej trwania. Nie niecierpliwi się, zna smak wojny. Na tym czy na innym froncie każdy się go doczeka, skoro wiadomo, że tym razem robota musi być zrobiona do końca, dokładnie i bez partodontu.

Jedziemy zobaczyć odcinek tego systemu, który na taką właśnie ewentualność przez dziesięć lat przygotowała Francja kosztem wielu miliardów, wtopionych w ziemię i przemienionych w betonową i zbrojną nieruchomość strażnic granicznych. System nazywa się linią Maginot.

Droga prowadzi przez zaśnieżony, biały zbliżony, ale szarzejący w mgłach i tumanach niepogody podgórski krajobraz. Zbrocza nastroszone polami winnic. Rozpięte gęsto na drutach, wyglą-

jakimś ładunkiem, czasem zohrzera i wodrującego piechota. Poza tem ani śladu żywej aktywności. A przecież, wbudowane w tę ziemię, czuwają olbrzymie fortece. A przecież, wtopiona między wzgórz, kryje się największa organizacja obronna, jaką świat zna od czasu wielkiego chińskiego muru. Tyle że mur obronny w XX w. znacznie się różni od swego wzoru sprzed lat przeszło tysiąca. Wprawdzie i w Chiinach była to konstrukcja o linii podkolumnowanej przez teren, o krzyżujących się wstęgach muru, z których nieprzyjaciela flankowano skutecznie, i fortach tworzących narożne bastjony węzłów oporu na przełęczach i łatwiejszych przejściach. Nowy system różni się od dawnego już nie tylko samym faktem podziemności, ale tem także, że architektonicznie składa się z osobnych zgru-



Na przedpolach

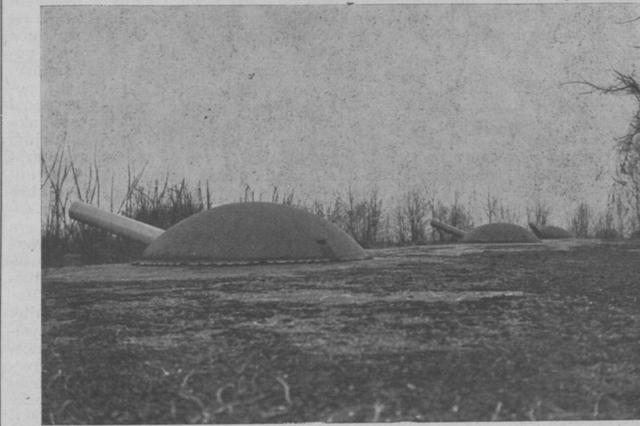
nr. 14.260

ną powyżej linii Renu pagórzysta, dolinami rzek tylko otwarta z Niemiec do Francji. Miejscami broni się nieledwie sama. Gdzieindziej należało geografję okolicy sprzymierzyć z matematyką nowoczesnego ognia. Jedynie tam, pod dyktando terenu budowano fortece jako zasadnicze elementy linii.

Ciągłość jej — rozumuję głośno — wyraża się przez fakt ścisłego współdziałania ogniowego z wszystkimi innymi elementami tego obronnego systemu, tak aby praktycznie biorąc, na całej długości pasa pogranicznego nie było ani luk ogniowych, ani tak zwanych martwych pól, i to w strefie na tyle

najdalszą metę, nie do ujęcia w cyfry: że cokolwiekby to kosztowało, — zawsze jeszcze taniej wypadnie, niż inwazja nieprzyjaciela, niż wojna tocząca się na własnym zamiast na cudzym terenie, zawsze taniej, niż zajęte przez Niemców departamenty Francji w latach 1914—1918, choćby nawet rezultatem tego zajęcia nie była ostatecznie klęska...

Oto pod zbrocze wysokiego wzgórzawciśnięty masyw ciężkiej fortecznej architektury, o wejściu które zamyka stalowa krata. Wejście, na oko, wielozienne, a drzewiczki w kracie tak małe, że tylko schyliwszy się dobrze, znajdu-



Wieże strzelnicze artylerji

nr. 12.639

bejściu, wspomina Grudziądz i przyjaściół w naszym wojsku, jak zresztą wielu spotkanych tutaj oficerów, którzy Polskę znają nie tylko z prasy. Objasnianie zaczyna się stwierdzeniem zupełnej samodzielności każdego fortu. W razie akcji zdany jest na własną siłę i wytrzymałość. Prąd dochodzi kablem z zewnątrz, ale w głąb pomieszczeń fortecznych czekają posłusznie dwie pary dynamomaszyn, gotowe każdej chwili uniezależnić wnętrze od dopływu prądu spoza fortu. Zapasy amunicji i części wymiennych do broni, własny wielki warsztat reperycyjny, kuźnia i tokarnia, żywność i woda na całe miesiące — wszystko to drzemie w głąb magazynów. Od gazów chronią filtry, wentylacja jest doskonała, kuchnie są elektryczne. Własny szpital. Oszczędność miejsca na głębokości 30 m pod ziemią jest przy tem wszystkim spora: przy fotelu fryzjera posiada swoje instrumentarium i pracuje w wolnych od

tylko desenie zasieków przeciwtankowych i kolczastych. Na przedpolach każde drzewo i każda kępa, każdy metr kwadratowy terenu posiada swój odpowiednik na siateczce planów ogniowych, któreimi pokryta jest mapa. Każde miejsce jest osiągalne, do każdego wstrzelano broń z tych wieżyczek, wystarczy powtórzyć te same elementy ognia, to samo odnotowane pochylenie lufy i kierunku, aby ani jeden pocisk nie był wystrzelony nadarmo. Każdy punkt w tym obszarze wziąć można pod flankujący ogień broni automatycznej, przekreślać nakrzyż wiązkami pocisków, poręć i podziurawić ogniem artylerji, sięgającej dalej niżeli objąć może wzrok z tego miejsca.

Celowniczy, typ apasza paryskiego, pokazuje manipulację. Celuje przez oko lunety. Ile razy tak samo przycisnął kolbę i tak samo mrużył oko do celowania, dostrzegając przed sobą pole tak dobrze znane, a czekając aby się na

niem wreszcie pojawił cel! To tak jak myśliwy na stanowisku, bardzo cierpliwy, ale marzący cicho o doczekaniu się zwierzca. Niechby już przyszedł, choćby i najgrubszy. Dalibyśmy mu bobu! W oczach każdego człowieka załogi czyta się cichą nadzieję tej nagrody za miesiące siedzenia, za ciężką monotonną służbę wart przy tych mechanizmach.



Żołnierze francuscy wracają do fortów

nr. 12.638

golenia chwilach — forteczny dentysta.

Tyle tylko że miejsce, z którego w czasie boju dowodzą będzie mój gospodarz, nie ma w sobie nic z perspektywy mostka kapitańskiego na krążowniku, jest posterunkiem podobniejszym do tego jaki zajmuje dowódca łodzi podwodnej. Połączony telefonicznie z każdym oddziałem i z każdą komórką swojej organizacji, mając przed sobą szkice i fotografie terenu, mapy i plany ognia, jest jak dyrygent, na którego znak doskonale zgrana orkiestra rozpocząć może koncert programem z przygotowanego już naprzód ogromnego repertuaru.

Spod warstwy i w oprawie betonowych pokładów wysunięte są aż na powierzchnię bloki, t. j. wieżyczki strzelnicze, nakryte czapami ze stali. Różne posiadają uzbrojenie w zależności od zadań w terenie. Jesteśmy w ko-

niem wreszcie pojawił cel! To tak jak myśliwy na stanowisku, bardzo cierpliwy, ale marzący cicho o doczekaniu się zwierzca. Niechby już przyszedł, choćby i najgrubszy. Dalibyśmy mu bobu! W oczach każdego człowieka załogi czyta się cichą nadzieję tej nagrody za miesiące siedzenia, za ciężką monotonną służbę wart przy tych mechanizmach.

Mieści się w tem oczekiwaniu niewzruszony element siły i bezpieczeństwa. Oni tu z wysokości swoich stanowisk wiedzą, że tego ich gniazda nikt nie ugryzie. W tem co mówią jest więcej niż brzmienie pewności siebie, jest ton wyzwania. Gdyby spróbowali! Ale daje się wyczuć poza tem na dnie świadomości prawie prośba, prawie błaganie: byleby tylko chcieli się pokazać.

ALEKSANDER JANTA.

ZBIGNIEW
GRABOWSKI

Sekrety Hitlera

czyli nienapisany
artykuł

Londyn, w lutym 1940.

Czy to prawda, że się będzie znowu pisało dla «Wiadomości Literackich», które opuściwszy Warszawę i osiadłszy nad Sekwaną, wychodzić będą pod nazwą «Wiadomości Polskich»? Nie można myśleć bez wzruszenia o tym fakcie. Dla pisarza i publicysty polskiego z «Wiadomościami» wiąże się piękne wspomnienia: wysokich wymagań i myślowej czujności, zupełnej swobody w wypowiedzianiu swojego zdania i prawdziwie europejskiego stosunku redaktora do współpracowników. Tam można było pomieścić to, na co za ciasna albo zbyt bojaźliwa była gazeta codzienna. Tam publicyści polscy mogli obszerniej wywieść i podbudować argumentację swój sąd o rzeczach i zjawiskach.

To że «Wiadomości» odrzuciły się i że będą znowu służyć sprawie swobody i indywidualności, jest dowodem rzadkiej w Polsce żywotności. Cennego zaprawki. Niedawania się losowi i wszelkim przeciwnościom, jakie przysięgły się przeciw kulturze polskiej, słowu polskiemu, myśli polskiej. Przekonania, że się jest potrzebny. Przeświadczenia, że się znajdzie czytelników — dawnych i nowych.

W ostatniej fazie istnienia «Wiadomości» ogłoszono kilka artykułów pod nazwiskiem własnym i pod pseudonimem «Politicus» (1). Jeden z nich omawiał kryzys wrześniowy z r. 1938 i następstwa Monachium. Zapowiedziałem studium «Sekrety Hitlera», które nie pojawiło się nigdy w «Wiadomościach».

Dzisiaj, kiedy rozpoczynam nowo pracę z londyńskiego punktu obserwacyjnego i kiedy myślę o nadmiarze tematów atakujących mózg, przypominam mi się ów niedokończony artykuł. Z jakiejś teckizną na dnie walizki wyjmuję notatkę do «Sekretów Hitlera». Zaczęte jeszcze przed monachijskim wyrokiem, kompletowane w jesieni 1938 r., zaokrąglone wnioskami na wiosnę 1939 r. Widać na nich wyraźnie wyścig z wypadkami. Ostatnie zapiski pochodzą z końca lipca i początku sierpnia 1939 r. kiedy na pień dni przyjechałem do Berlina. Są one skrócone już wyłącznie dla własnej kontroli; piszący rezygnuje po woli z wyścigu z faktami.

Wypadki zdystansowały zdania niedokończonych artykułów.

W czasie dwuletniego zgórą pobytu w Berlinie — od lata 1935 do jesieni 1937 r. — czułem niejednokrotnie ochotę skreślenia wizerunku Hitlera pod kątem widzenia psychologii, z wycieczkami w sferę psychoanalizy. Uważałem, że tej złożonej postaci dzieje się wyraz na krzywdę w biografii i publicystyce. Frasa przesłoniła wizerunek psychiczny Hitlera przez kładzenie nacisku albo na stronę polityczną jego działalności albo na drobiazgi i skandaliki, domysły i poszukiwania, które nie wnosiły nic nowego do analizy. Przez długi czas rozważono się nad pochodzeniem Hitlera, odczytywano metryki i nagrobki, starano się podać w wątpliwość aryjskość jego pochodzenia. Ale genealogia psychiczna Hitlera leżała tymczasem odłożona. Niemieckie opracowania były jednym bałwochwaltwem. Przez bizantyzm stylu i treści niesposób było pochwytać cech ludzkich modelu. Próby Heideny czy Oldena dawały przede wszystkim opowiadanie o marszu w górę, ale portret psychiczny wychodził zamazany. Reportażysty w stylu Ward Price'a przyczynili się sporo do defikacji dyktatora. Nie trudno było z ich raportów wyczytać, jak bardzo imponuje im zjawisko, któremu na imię: Hitler.

Dzisiaj nie brak już ocen dobrej miary i wysokiej próby. Na pierwszym bodaj miejscu postawić chyba należy znakomite w każdym calu studium angielskiego publicysty F. A. Voigta «Unto Caesar». Rzecz ta, obecnie opublikowana w trzecim wydaniu z nową przedmową, ogłoszona przed Monachium, wyrosła z wyborowego znawstwa Niemiec, jako jedno z najlepszych studjów politycznych, napisanych po wojnie. Voigt, redaktor czołowego miesięcznika angielskiego «The Nineteenth Century and After», korespondent dyplomatyczny liberalnego «The Manchester Guardian», na wielką zasługę wobec ogółu angielskiego. Szkoła to prawdziwa, że jego książka nie pojawiła się w przekładzie polskim. Zapomniano o niej, a wydawano przypadekowe reportaże własne i cudze, fałszywe w sądzie, śmieszne przez ubóstwo wiedzy politycznej, prawdziwe produkty przedpokojowo - antyszambrowe ludzi zafascynowanych takim czy innym M. S. Z., niekiedy płody zwykłego służalstwa. Szkoła, że «Unto Caesar» nie pojawił się w Polsce. Inna rzecz, czy książkę puściłaby cenzura. Albowiem z dobrodziejstwa cenzury nie doczekaliśmy się wydania przekładu ani Heideny ani Oldena. Osoba Hitlera była tabu dla poważnej analizy. Zostawiano ją u nas przeważnie karykaturzystom i feljetonistom.

Równie szybko literatura wokoło osoby wodza Trzeciej Rzeszy. Rauschninga «Hitler mówi» (wydanie angielskie

p. t. «Hitler Speaks» (2) jest najwbitniejszym wydarzeniem, jeżeli chodzi o biografję intymną. Jest rzeczą zastanawiającą jak wnioski Voigta zgadzają się z relacjami Rauschninga. Jasnowidztwo psychologiczne i słusność rachuby oraz sądu autora «Unto Caesar» uwytkła się najlepiej na tle raportu Rauschninga.

Przeglądam notatkę do «Sekretów Hitlera». Zaczynają się od porównania Hitlera i Mussoliniego:

«W zestawieniu z Hitlerem — czytamy — osoba Mussoliniego wydaje nam się dziwnie wyraźna, niemal przejrzysta, ma w sobie coś znanego, potrafimy znaleźć dla niej wzory, snuć analogie. Hitler tonie w mroczakach niedomówienia, nie umiemy wybrać dla niego wzoru, jest on niepokojący przez inność swoich składników jak i zespolenie ich w jedno. Czujemy w nim odrazu człowieka namiętności, zawiłych odruchów, napadów hysterji, tłumionych porwów — tłumionych, weiskanych w nowe niebezpieczne koleiny. Jego «Mein Kampf» jest pieśnią nienawiści, krzykiem odwetu, tęsknotą za «Rache». Tkwi on w kłęscie niemieckiej i nie potrafi wyzwoić się z tego koszmaru. Pytanie «dlaczego» nie daje mu spokoju. Niejednokrotnie wyłącza przed dziennikarzami zagranicznymi, że jako żołnierz z okopów nie pragnie wojny, nie dopuści do niej. Podobnie do zagranicznych mężów stanu. Ale w gruncie rzeczy jest człowiekiem, który chce pamiętać o okopach, który niesie z sobą atmosferę wojennej brutalności i dla którego do powietrza było czemś wybaczącym, lepszym, heroicznym, po wiedziem, poniżającym szlifbrukostwie.

«Mussolini wyrósł jednak z wojny zwycięskiej dla swojego kraju, wszystko jedno jak i w jaki sposób zwycięskiej. Niema w sobie straszliwego resentimentu. Niema w sobie ochoty odegrania się, co to — odkucia. Nie dręczy go myśl odwetu, zrobienia tego raz jeszcze ale lepiej, bez błędu, bez omyłki, z precyzją i dokładnością. Kiedy Mussolini mówi że wojna byłaby katastrofą dla kultury europejskiej, czujemy w tem istotnie moment lęku i niepokofu człowieka, który nie może być niewierny swojej głębie: głębie kultury łacińskiej. Gdy Hitler mówi podobne słowa, brzmią one pusto. Trzecia Rzesza niedarom ucieka od wspólnoty świata zachodniego i łacińskiego w jakiś mit nordycki. Rzekomo dlatego, że widzi na Zachodzie rozkład. Ale prorokował go już Nordau, potem Spengler. Niemcy byli pierwsi w proroczych zagładach Zachodu, może czując podświadomie, jaką są sami grozą dla jego losów, jakie potencjalne tkwi w nich niebezpieczeństwo dla tego Zachodu. Jest to prorocstwo typu człowieka, który mówi, że się coś rozkłada i psuje, albowiem chce usprawiedliwić swój zamach nożem.

«Odciepię się Niemiec od świata, autarkia nie tylko gospodarcza ale myślowa, hodowla idei w odosobnieniu, to wszystko są zjawiska nowe i niepokojące. Bo Rzesza, cokolwiek się powie, leży jednak w sercu Europy, i dlatego odrutowanie takiego obiektu, postawienie zasięków wokoło takiego obszaru nie może być obojętne dla nas wszystkich. Oczywiście, bolszewja jest także za kordonem. Konieczne to było, ażeby móc dokonać eksperymentu. Naukowego eksperymentu z najnowszym wynalazkiem: komunizm. Eksperyment żąda warunków odosobnienia, izolacji. Idealne są właśnie w Rosji. Nie są, zdawałoby się, idealne w Niemczech. Przeciwnie, Niemcy, tak się zawsze myślało, łakną zagranicznych nowinek, nie mają w sobie przekonania Francuza o doskonałości swojego ogródka; Francuz nie tęskni naogół za szerokim światem, Niemiec chce się wszędzie czegoś nauczyć, natrzeć. I oto naród tak łakomy świata zamyka się, odrutowuje. Niema większego dowodu skuteczności propagandy, niema większego komplementu dla Goebbelsa. POCO ten obóz warowny? POCO ta religja janczarstwa? Mahometanizm hitlerowski może mieć sens i spełnienie tylko w jednym: w podboju. Teraz nam ciężko (podobnie zresztą mówią bolszewicy), ale jutro będzie doskonale. Teraz asceza — głosi Hitler — ale jutro «Herrenvolk» powyżej Anglików.

«Pytanie, które musi sobie postawić badacz zjawiska zwanego: Hitler, — czytamy na innej karcie notatek, — streszcza się w słowach: czy w charakterze jego dokonały się zmiany, czy potrafił on zapomnieć o sobie z okresu niedzy wiedeńskiej, czy dalej, człowiek, który został kanclerzem Rzeszy, zmienił się wewnętrznie pod wpływem kolei losu i wyniesienia na szczyty godności? Niejednokrotnie słyszy się spory o «Mein Kampf»: dlaczego Hitler nie chce zmienić niczego w tej książce pisanej w pewnej koniunkturze politycznej, w pewnym stadium swej kariery? Ze strony ortodoksów partji pada odpowiedź, że nie można niczego zmieniać w dokumencie. «Mein Kampf» jest historją — wara zatem poprawkom od historii. Ale czy trzeba brać dalei dosłownie i à la lettre wyrzucenia Hitlera? — indaguje niewtajemniczony. Ach, nie, przecież «Mein Kampf» pi-

sał człowiek rozgoryczony, złamany niepowodzeniem, rozżalony na francuskie postępowanie w Ruhrze. Wpływ afektu jest nieunikniony...

«Czy jednak tak jest w istocie? Czy Hitler nie zmienia niczego w «Mein Kampf» z tej prostej przyczyny, że w rzeczywistości ozywają go te same uczucia jak wtedy, gdy siedział w twierdzy, wcale wygodnej, pozując na męczennika narodowego? Nie chce zmienić, bo nie czuje potrzeby — bo nie uległ sam zmianom. Jest to natura urobiona wcześniej przez los i warunki, natura, która ulega niewielkim odchyleniom, jeżeli chodzi o podstawowe instynkty, zapędy, zachcianki. Hitler nie potrafi strząsnąć z siebie przeszłości, i to jest niewątpliwie proletariacka cecha jego natury. Nie potrafi przebaczyć, nie potrafi uśmiechnąć się z połażaniem, nie jest zdolny do popatrzenia na siebie samego z humorem, nie ma żadnych skłonności do samoironji. Bierze siebie niesłychanie poważnie i jest namaszczony. Zdolny jest do smagania gniewem ale nie ironją, a jeżeli stara się być ironiczny, ma to charakter karcezmnych wyzwick. Jego rubasznosc i niewybrednosc nie ma w sobie jednak cech krwistości Lutra — odkrywamy w niej raczej zapienioną hysterję, wściewłość dziecka, któremu odmawia się zabawki, opętane tupanie nogami. Zjawisko zwane Hitler ma niewątpliwie jakieś punkty zbiczne ze zjawiskiem, któremu na imię: Luter. Są one w pewnym sensie dwoma obrazoburcami, którzy powstają przeciwko ustaleniemu porządkowi, przeciwko tradycji i obyczajowi i sięgają do jakiegoś sedna rzeczy. Obaj są wyrazem dziejowego kryzysu myśli. Obaj walą pięścią, obaj zachowują się niemożliwie. Ale ich dyspozycje, ich temperamenty, ich pasje są odmiennego gatunku, ciężaru, zawiesistości.

«Jeżeli dojdziemy do wniosku, że natura Hitlera nie ulega zmianie, jeżeli zgodzimy się, że podstawa tej natury jest organiczna nienawidź, nieufność, pogarda dla trzody ludzkiej, niewiara w lepsze instynkty, przekonanie że tylko siła i okrucieństwo potrafią wykreślać z człowieka i masy jakieś lepsze jutro — że się przedstawia przyszłość Europy. Hitler najwocześnie wierzę, że trzeba wrócić do pierwotnych złoź natury ludzkiej, że trzeba apelować do okrucieństwa, strachu, do Imperium Germanicum można zbudować tylko na trupach słabych i chwiejnych, na krwi — anających się, na ofiarach wewnątrz i zewnątrz kraju. Wychowanie w okrucieństwie zdaje się być hasłem szkoleń młodych pokoleń. Oparte jest to na trafnej obserwacji, że do młodzieńców okrucieństwo i twardość przemawia lepiej i silniej, aniżeli opowiana mądrość i łagodność. Pokolenie wyszkolone jednak w takich hasłach, pokolenie kierowane przez narybek z «Ordensburgów», będzie najsurowszym pokoleniem, jakie oglądała Europa od stuleci, od czasu janczarów.

«Czy Hitler jest okrutny z natury, czy jest on «głównym terrorystą» (jak go nazywa Voigt w swojej dosadnej i wspaniałej analizie) z popędu, czy też zmusza się do tego rodzaju działania? Trudno rozsądzić to bardzo tajne i wstydlive sprawy. Wydaje się, że ner-

wy Hitlera nie zawsze wytrzymują okrucieństwa. W nocy 30 czerwca nerwy te zawiodły. Goering wziął na siebie czystkę. Dla niego, jako dla typu programowo amoralnego, jako gangstera rozbrajającego swoim cynizmem w stylu Al Capone'a, nie istnieją załamania nerwowe.

Przerzucam kartki dalszych notatek. «Stosunek Hitlera do kobiet, — czytamy, — to także osobliwe cienie jego natury. I znowu, jeżeli zestawimy go z Mussolinim, włoski władca wyda się nam czemś zrozumiałym, jasnym, niemal sympatycznym. Jest ojcem rodziny, posiada napewno czule serce dla kobiet. Człowiek, który używa rozkoszy. Bierze ją owarcie.

«Hitler zataja swoje pasje, o ile je posiada w tej sferze. Nawet Heiden nie umie powiedzieć nie dokładnego o tej dziedzinie życia Hitlera. Cytuje domysły. Wszystko też kończy się na domysłach. Istnieją pewne sentymtalne poszlaki: jakaś nieszczęśliwa idylla z bliską krewną. Pewne ostentacyjne pokazywanie się ze sławami sceny. Ale co pozatem? John Gunther w swojej książce «Inside Europe» głosuje za tem, że «Hitler jest dziewiczy». Inni powiedzą, że kontuzja wojenna wywołała u Hitlera impotencję.

«Ale jakkolwiek rzecz się ma, pozostałym faktem, iż sfera seksualna przynosi się u Hitlera w dziedzinie działania publicznego. Następuje u niego przesunięcie ośrodków: — ekstatyczne krzyki rozlegają się w jego mowach, głos sadyzmu i zemsty, zapożyczony z zakamarków miłosnych, pojawia się razporaz w jego słowach pisanych i mówionych. Jego czyny i słowa dyszą jakąś przejmującą, niewyżytą pasją człowieka, trawionego potajemnymi namiętnościami. Jest to stanowczo dostojniejsza. Nie tylko w tem i nie tylko w tym zakresie»...

«Wielokrotnie słyszy się w czasie pobytu w Trzeciej Rzeszy usprawiedliwienie tego typu: nie można wszystkich posunąć ich ekcesów zwalac na barki régime'u czy samego Führera. Są przecież stopnie pośrednie, różni cacykowie, różni gorliwcy. Chcą się zastęgiwać. To przecież aż nadto ludzkie.

«Płumaczenia te mają pozory prawdy. Nieraz słyszało się je w Niemczech w okresie pogromów żydowskich, czyste partynich, procesów przeciwko zakonom katolickim i szyskanom «ciola. Ale gdy zastanowimy się głębiej, teoria ta przyska. W państwie tak wspaniale zorganizowanem jak Trzecia Rzesza, gdzie każda komórka jest kontrolą, niema miejsca na jakieś improwizacje. Wszelka akcja jest kierowana, wszelka akcja ma gdzieś początek, racje i źródła. Jeżeli uprzytomnimy sobie tę prostą prawdę, dojdziemy do wniosku, że określenie Voigta o «głównym terrorystę» nabiera ponurego sensu.

«Prasa niemiecka wtajemniczała nieraz swoich czytelników w zamiowania wojenne Hitlera. Sugeruje ona że Hitler posiada olbrzymie zasoby wiedzy wojskowej.

«Trudno sprawdzić te rzeczy. Ale

zdaje się, że ambicje wojskowe Hitlera są znaczne. Ze rozkazuje on z lubością ludziom należącym do niemiętego mianu junkerstwa, że pomiała oficerami, którzy pogardzali nim ongi na froncie — to wszystko należy do tego właśnie proletariackiego kompleksu, który był udziałem niejednej wielkości wyrosłej z nizin i nicości. Hitler uważa napewno, że wie więcej aniżeli fachowcy wojskowi, że instynkt jest ważniejszy aniżeli księgi i wykresy i że jak w architekturze bije wszystkich zawodowych architektów, tak i na polu wojskowym jest samodzielnym geniuszem na miarę napoleońska.

«Hitlera upaja napewno wojna. Dla niej znajduje w «Mein Kampf» słowa istotnie sugestywne. Upaja go napewno wizja przyszłej wojny. Akcja wobec miasta Almerji, skoszenie baskijskiej Guerniki, pozwala przewidywać, po jakiej linii poprowadzi kiedyś Rzesza wojnę. Niedarom czytaliśmy już w lecie 1938 r. i przedtem na łamach pism wojskowych Rzeszy, że najhumanitarniejsza jest wojna najkrótsza. A krótka wojna, to wojna błyskawiczna czyli wojna totalna, czyli wojna najbardziej okrutna. Wojna, jaką narzuci Rzesza a raczej Hitler, światu, musi być z konieczności wojną okrutną.

«Trzeba tu przyznać Niemcom z całą lojalnością, że nie czynią tajemnic ze swoich zamiarów, ze swoich poglądów i przekonań. Wojnę totalną dyskutuje się w Niemczech latami. Pisze się o wojnie bakterjologicznej z zastanawiającą otwartością. Ale Zachód i nie tylko Zachód, nie chce wierzyć aby to było na serio. Aby ktoś nanow, w dwadzieścia lat po jednym upuście krwi, medytował nad drugim. Aby ktoś lubował się w widoku rzezi, Niewiara Zachodu jest wielkim sojusznikiem Niemiec.

«Młode pokolenie niemieckie mówi o wojnie. Nie boi się jej. Odrzodził się tu już mit wojny. Nie jest to jednak mit sentymtalny, ułaskiej trąbki, konia, dziewięcny żegnający na stacji. Nie, jest to mit twardy i ponury jak czołg, mit heroiczny, pragmatyczny, uznanie że krew jest najlepszą przyprawą dziejów. Rzesza ma do stracenia tonny krwi. Setki tysięcy zapalonych głów. Może z siedemdziesięciu milionów wdzieleli na odstrzał dwa, trzy czy nawet cztery miliony. Zachód musi się wahać z taką rozrzną gospodarką. I ponieważ Rzesza ma te krew i ma ten gest, powiada, że Zachód jest zmniejszający i zmuszający.

«Hitler zaś buduje na młodzieży. Rozumie on, tak jak zrozumiał komunizm, że wychowanie jest najlepszym gwarantem stałości régime'u. Nie taki czy inny klucz partyni, nie nawet meżowie zaufania, nie szczyelny system następstwa. Trzeba wychować młodzież, wytrenoować ją, wyhodować jak konie. Wtedy przetrwa system. Partja musi być hodowla młodzieży. Hodowla w nowej religji. Bo młodzież nie tylko potrzebuje okrucieństwa i ryzyka. Potrzebuje także wiary. Jeżeli da się jej wiarę okrutną, ma się wielkie szanse przetrwania».

Wyrwana kartka: «Hitler a Polska»:

«Czy Hitler wierzy w to — co mówi o Polsce? Czy zatem całe jego zbliżenie polityczne jest wyrazem przekonania czy też tylko konjunktury? Czy zostawisz kanclerzem Rzeszy oddalił od siebie uprzedzenia, jakich nabył na bruku wiedeńskim?

«Niema na to żadnego dowodu. «Mein Kampf» mówi wyraźnie o nienawidzi do elementu słowiańskiego, który — obok żydowskiego — sprawi że Wiedeń wydał się Hitlerowi w dobie młodości jakimś gigantycznym grzechem przeciwko rasie, źródłem wszelkiej nieczystości. Szowinista pangermański nienawidził Czechów, Polaków i Chorwatów, bo psuli mu harmonję germańską Austrii, bo grozili rzekomo załwem niemieckiej austriackiej. Ma pogardę dla Słowian jako dla rasy podrzędnej.

«Gdyby Hitler był naturą zdolną do zmian, jego polityka t. zw. zbliżenia do Polski mogłaby być prawie szczerą. Ale ponieważ zdaje się tak nie jest, więc i cała ta polityka jest tylko konjunkturą. Patrzy na Polaków z pogardą, traktuje Polskę jako instrument, który jest dlań pozyteczny. Dla Hitlera niema partnerów.

«Dlatego szczególną wagę przywiązuwać należy do tych odczewań się Hitlera, które nie są objęte protokółem dyplomatycznym, nie są ani uroczystym wywiadem, ani mowa. Fakt że Rosenberg, którego nienawidził do Polski jest notoryczna, cieszył się przez długi czas zaufaniem Führera i miał nawet tytuł jego «spowiednika», nie wróży nic dobrego. Awanturnik i ciemna figura, niejaki Lüdecke, wydał w Anglii książkę «I Knew Hitler». Lüdecke nie przynosi napewno zaszczytu żadnemu ruchowi, można ubić jego opowiadanie zmniejszając tem, że tego rodzaju kreatura zmyśla od początku do końca. Ale sad taki byłby zanadto lekkomyślny: trudno bronić Lüdeckego, ale intrygujące pozostaje pytanie, dlaczego tak wiele tytułów katylnarnych zebrało się na klucozowych pozycjach Trzeciej Rzeszy? Dlaczego tak wiele w maszynie hitlerowskiej tych typowych «Abfallsprodukte» okopów? Dlaczego Röhm był w wielu sprawach symbolem i dlatego tolerowano tak długo jego wyczyny?

«Osobliwy Lüdecke opowiada w swojej książce «I Knew Hitler», iż Führer przed podpisaniem układu z Polską wyraźnie głosił, że nie przywiązuje wielkiego znaczenia do tego kroku. Że to nic nie znaczy. Wyrażał swoją opinję jaskrawo i grubiańsko o «państwie sezonowym» i nisko oceniał walory Polaków. A wreszcie wybuchną obietnicą, którą należy zostawić w oryginalnej formie: «Mit diesen verfluchten Polacken werde ich noch Schlitten fahren».

Słowa te mają w sobie niepokojący posmak autentyzmu. Wierzymy, że Hitler mógł to powiedzieć, że właśnie tak powiedział a nie inaczej. Jest w tych słowach pasja i pogródka, wola odegrania się, zemsta na kimś, kogo uważa się za słabszego i naiwnego. Naiwnego — bo uwierzył w układ, który podpisał».

Notatka z listopada 1938 r., kiedy przez parę dni bawiłem w Berlinie:

«Teoria że Hitler we wrześniu bluffował tylko wojną, chwycie się w świetle różnych opowiadań, jakie słyszy się od ludzi co coś wiedzą. Opowiadają oni, że Hitler rwał się w Godesbergu do wojny, a raczej do poskromienia Czechów, bo wojny nie są oni nawet godni. Poskromienia, złamania, zombardowania.

«Jeden z ludzi, którzy mają otwarte oczy, relacjonuje że jeszcze w styczniu 1938 r. mówiono w Berghofie: «Najbliższe święta Bożego Narodzenia spędzimy w Pradze». Jeżeli tak, układ monachijski jest tylko uspianiem czujności poniżonych demokracji. Układ ten był poniżeniem — dla zachodnich partnerów, dla Czechów: dlatego jest tak typowy dla umysłowości Hitlera.

«Jeżeli w Berghofie stawia się prośwta na taką meię i tak dokładnie, trzeba przyznać, że wyobraźnia Hitlera ma cechy niesamowitości.

I wreszcie ostatnia notatka, z początku sierpnia 1939 r., po powrocie z Berlina do Londynu:

«Urzędowo opowiada się po obu stronach o możliwości ugody. Że niema nic nieodwołalnego. Uderza mnie jednak, że w rozmowach z ludźmi partji, szczególnie z młodymi, panuje całkowita szczerosc. Nie kryją się oni z tem, że Polska czeka wojna. Wyznaczają termin: potrwa ona dwa do trzech tygodni. Powiadają to tak pewnie, że nie można uwierzyć, aby to było ich własne przekonanie. Nie, to jest inspiracja zgóry, może z bardzo wysoka.

«Trzeba raz jeszcze stwierdzić: Niemcy są wcale szczerzy. Powiadają, że nie należy ich lekceważyć gdy grożą».

Nie zabrałem się już do złożenia notatek kreślonych od szeregu miesięcy. Czuję, że artykuł mój o «sekretych Hitlera» jest już nieaktualny — w oczekiwaniu na cios, którego zbliżanie tak dobrze czuliśmy w Londynie. Wojna zdemaskowała szybko wiele sekretów Hitlera.

Dlatego przypominam dzisiaj te luźne notatki psychologiczne? Przede wszystkim dlatego, że chciałbym podać je w takiej formie przynajmniej, skoro nie powinno być nienapisanych artykułów. Uważam to ponieważ za wywiązanie się wobec redaktora «Wiadomości» z obietnicy danej przed rokiem zgóra. Ale jest i drugi wzgląd. Uważam że wielkim błędem wszelkiej publicystyki politycznej, a cóż dopiero polityki, jest niedocenianie czynników psychologicznych. Sama gra polityczna, zawieszona w tej czy innej «rzeczywistości politycznej», ale nie podbudowana studjum psychologicznym, jest nieralna. Raporty, jakie daje w francuskiej «Livre jaunes» b. ambasador Francji w Berlinie, Coulondre, są przykładem znakomitego stosowania psychologii do dyplomacji i polityki. Coulondre kreśli w swoich raportach wizerunek Hitlera, jakiego — nie potrafili, niestety, dać nasi dyplomaci i politycy.

Polska polityka zagraniczna potknęła się na sekretach Hitlera. Wzięła go dostownie na serio, wierzyla mu, uważała się za jego partnera. Ludzka się do ostatniej chwili, że Hitler bluffuje. Nie chciała wierzyć w to co widział już Coulondre w maju 1939 r.: widna porozumienia Berlina z Moskwą i nowego rozbioru Polski. Ten optymizm niewiadomości, to jakby powiedział Anglik «wishful thinking» — miał napewno źródło w polskiej niechęci do widzenia rzeczywistości na gorszej, w manji ludzienia się. Musimy poznać przynajmniej dzisiaj sekrety wielkiej niewątpliwie, wielkiej — bo groźnej jak zagłada, wyobraźni Hitlera. My i Zachód. Pociągamy się bowiem, że na Zachodzie nieliczni widzieli pełny sens Hitlera i wszystkiego, co on ze sobą niesie. Za sekrety Hitlera płaci dzisiaj Zachód straszliwy haracz. Płaci go z zimną pasją w sercu, albowiem — te sekrety nie były znowu tak głęboko ukryte; niejedne znajdowały się uwiecznione na ośmnie, niejedne powiedziane. Sprawda się na nas, na Zachodzie, na świecie, który zaczyna brodzić dopiero w odmęcie wojny, sprawda się z całym okrucieństwem cyniczne powiedzenie, że mówienie otwarcie prawdy najbardziej wywodzi w pole, że szczerosc może być formą najwyższego oszustwa.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.

Polacy!

Kupujcie 1.000-irankowe francuskie

«Bony zbrojeniowe»

Bon sześciomiesięczny cena fr. 987.50

Bon roczny cena fr. 970. -

Bon dwuletni cena fr. 930. -

Najlepszą lokatą Waszych oszczędności jest pożyczka udzielona

ŻOŁNIERZOWI

(1) por. nr. nr. 753, 756, 760, 762, 772, 775, 800, 810 i 812.

(2) Fragmenty książki Rauschninga ukazywać się będą w «Wiadomościach Polskich».



Feliks Topolski

DROGA KRZYŻOWA POLSKI — WRZESIEŃ 1939

Koło Bełcza ludność mówiła już przeciągłym kresowym akcentem, twarde skandowanie mazurskich chłopów zamieniało się tutaj na melodyjną płynną i śpiewną, mówili zwykle słowa, a zdawało się, że donoszą o swych uczuciach i temi uczuciami otoczyli naszą nocną, ciemną sytuację. We wsi wszystkie konie były albo zarekwirowane, albo w wojskowych rozjazdach. Ale kiedy staliśmy na ciemnej szosie już niemal zrezygnowani, przystanęli wkoło, radzili i uradzili, zatrzymali jedną z przejeżdżających furmanek, kazali odwieźć do najbliższego miasteczka, a tam już konie będą. Nanieśli słomy i siana, wymościli wóz i życzyli szczęśliwej drogi. Noc była chłodna i błyszcząca gwiazdami, nieznany szlak szosy lśnił szarawo i srebrzyście, nad polami stały mgły, niekiedy podnosiła się pierś ziemi niesłychalnym westchnieniem wzgórze, potem opadała cicho, i droga zapadała w ciemny, miękki las. Szedł po obydwu stronach, niekiedy wybiegało nam na spotkanie wielkie rozrośnięte drzewo, rozkrzyżowało swe drewniane czarne ramiona i cofało się w ciemność. Kraj zęgał nas niemi, nieruchomy, żyjący tylko oddechem mgły i błyskiem gwiazd wśród dwóch powiek lasu. Siedzieliśmy skuleni, pochyleni, chwiła się ciemna kulką wozniczy, koła dudniały martwo, żyła tylko jedna istota, koń.

Wtedy zaczęły się halucynacje. Kiedy zgęszczała się ciemność lasu, wydawało się, że skręcałam z szerokiej ulicy Nowego Świata w ulicę Warecką, mijam róg, jest owocarnia i za szybą ułożone są w szeregu jabłka, półki wystawowe okna wyłożone są zielonym papierem, na pudełkach z daktylami namalowane są palmy, banany wiszą na sznurku. Koła potykają się o jakąś wywę, idę ulicą na Powiśle — może to Browarna? — stopnie wyłożone są kociami łbami, ujęte w listwę gładkiego kamienia, idą kugorze w obramieniu kamieniem, pamiętam wąskie skrawki ziemi, między wypukłymi galkami bruku. Przechodzą dwie dziewczyny, mają na nogach czarne pantofelki, jedna para jest z klamerkami.

Zdaje się, dotknęłam niechcącej ręki Piotra i w chłodzie nocy płynię w strumieniu ciepła. Bywają u nas w Warszawie, nad Wisłą, nawet w gorące lata wieczory chłodne. Od rzeki, od łożin które rosną koło mostu Poniatowskiego, od mokrej łąki, przedartej piaszczystymi ścieżkami, idzie powiew wilgotny, przepływa przez ciepło minionego dnia, wcisła się w ulicę, między ogrodów, otoczone drucianymi siatkami, tak nowymi, że jeszcze czerwonymi od świe-

żej minji. Helena zamyka okna w mieszkaniu, zasuwają zielone story, od nagranych murów płyną strumienie ciepła, na suficie pośrodku jest białe koło światła i drży od ciepłych prądów, błyszczy mała metalowa kulka lampy, kilka much kręci się w cichym, sennym tańcu, Helena stoi z podniesioną głową i mówi, że trzeba kupić lep. Jeszcze otwarte są drzwi balkonowe, słychać, jak cicho sunie autobus przez Francuską ulicę, a potem nieśmiały, zgubiony gdzieś na łące, ciągnący się do Grochowa, śpiewa świerszcz. Nie — to nie na łące pod Grochowem, w lesie jest polana, i gra cały chór świerszczy. Odejdź! Odejdź! Warszawa! Nie odchodzi. Na szosę wylewa się z bocznej drogi kilka samochodów, mkną bez świateł i głosów, lecz kiedy skręcają, migają zielonymi światłami zapalonych i gaszonych latarni. I nagle rozświetla się Marszałkowska światłami czerwonych i zielonych neonów, skręconymi w zawijasy Wedla i «Plutos», świeci wielkimi napisami kin «Światowid» i «Stylowy», koło «Światowida» leżą na wystawie zegarki, jest godzina osma, ludzie stoją przed kinem i oglądają amerykańskie foty, śmieje się głupio Tyrone Power — nie warto pójść na ten film. W domu na stoliku przy tapczanie leży książka, zdaje się, jakby na Marszałkowskiej stanął koło mnie Roger Martin du Gard i uśmiecha się tajemniczo, mówi: «Idź do domu, stary Thibault już umarł, a Jacques się znalazł w Szwajcarii. Teraz ma wybuchnąć wojna!». «Wojna! Wojna!» — woła Roger Martin du Gard, lecz na rogu ulicy Złotej jest zator, tramwaj skręca na lewo, u Fuchsa na wystawie błyszczą karmelki, opakowane w złote i srebrne papierki, obok jest budka z gazetami, gruba sprzedawczyni patrzy w oczy: «Pani żyć?»... «Ja żyję do Warszawy! Do Warszawy!»

Niekiedy drzewo przydrożne, oświetlone oddotło nagłym światłem samochodu, zdawało się rozpadać na mnóstwo drobnych linii, rozkręcało się bujna, przesadna falistością — był to jakby sztych z XVIII w., był to jakby park w Łazienkach. W teatryku na wyspie, wśród sztucznych ruin, wśród drzew, na które padało światło rampy, wśród cichego plusku wody na stawie grano Moljera: «Tu l'as voulu, Georges Dandin...» Łabędzie odpływają, gasną światła, i ostatni błysk spływa po głowie greckiego medra, siedzącego na kamiennym fotelu nad amfiteatrem, idziemy po alejach parku, na wysokim cokole satyr moczycie się z nimfą, w półświecie rysuje się kolisto pierś alegorycznej figury przedstawiającej Wisłę. Był teatr w Warszawie i były wie-

STEFANJA ZAHORSKA

FRAGMENT LIRYCZNY*

czory w Łazienkach, w królewskim teatryku, na wyspie.

Zatrzymują nas. To straż. Pilnują dróg i mostów. Przedziwna straż. Brodaty Żyd i stary chłop. Na ramieniu mają przepaski z pieczętką gminy. W rękę trzymają grube laski, lecz twarze ich oświetlone małymi latarkami, układają się niechęcy w dobronliwy uśmiech. Usprawiedliwiają się: «Bo to nigdy nie można wiedzieć, mogą być jakie szpiegi...» Mają rysy grube, toporne, wyłaniają się z mroku nocy i giną w ciemności.

Otwieram oczy szeroko, wchłaniam soczystą noc, lecz Warszawa wylania się znowu, pełna twarzy przypadkowych widzianych i zachowanych bez zmiany w zakamarku pamięci, staje przede mną czysty uśmiech podwójny, smutny i wesóły, czyjeś powieki opadające na wyblakłe oczy, fady suchej skóry obramijające skurczone wargi, poła pozostałego ubrania, szypułki oberwanego guzika.

«Do której Warszawy ty tęsknisz?». Było ich dwie. Jedna, która rano o szóstej wychodziła z drewniaków i suterny, aby piechotą zdążyć do pracy, i druga, która o szóstej wieczór stawała przed lustrami, by zdążyć samochodem do łazienkowskiego teatru. Nad jedną i drugą Warszawą było niebo to samo, jedną i drugą opasywała Wisła, jednej i drugiej świeciły neony. Nie — tylko jednej. Na przedmieściach nie było neonów. W kinach na przedmieściach świeciły tylko lampki ucezione do papierowych szyldów, Tyrone Power śmiał się uśmiechem wyblakłym i zużytym i czarował bezdomne dzieci, zapatrzone w niedostępne wejście do kraju cudów. Zimą i latem, w nocy i w dzień, te dzieci biegły po ulicach Warszawy i wykrzykiwały głosami zdartymi jak ich portki i buty: «Dobry Wie...», «Wieczór War...», «Kurjer Po...», tak zdyszane gonitwą że nie miały czasu wymówić całego tytułu gazety. W naszej dzielnicy, gdzie budowano nowe luksusowe domy, pełno było robotników. W sobotę o dwunastej była wypłata. O pierwszej ludzie byli już pijani. Szli chwiejnie nowa aleją, nowym asfaltem, wśród młodych jesionów, doswycch domów położonych daleko i zataczali się — już o pierwszej. Niewiele trzeba było wódki skurczonym żołądkom, niewiele wystar-

zało radości wysuszonemu mózgowi.

Dobrze było w Warszawie? W której Warszawie było dobrze?

Coraz więcej samochodów wylewała się na szosę, wyciągają długie pyski, linia ich pleców wydaje się zgarbiona, Mkną. Uciekają. Wymijają nas z szumem, niektóre tak blisko że zdają się zahaczać o koła naszego wozu. Wtedy w uszach brzmia słowa: «Uwaga, uwaga — przeszedł!». Na niebie nad nami niema już niewidzialnych pól i linii znaczonej cyframi: Z—L12, 24. Cyfry znaczonej w tej chwili tylko ilość uciekających samochodów, dwa, cztery, osiem, dwanaście. Jaka noc jest teraz w Warszawie? Czy «Komenda O P L przypomina, że alarm lotniczy na miasto Warszawę trwa»? Druga Warszawa siedzi przycajoną, przywarta mocno do murów piwnic i suterny, za chwilę splonie dziurawy dach nad jej głową, wtedy wybiegnie na ulicę i będzie wołała zdartymi jak portki i buty głosami: «Nie dajmy Warszawę!».

Nieszczęście nie jest nowe. Zaczęło się w królewskim pałacu w Łazienkach, kiedy panował najmłodszy król Stanisław August, znawca sztuki, zbieracz sztuczów i przyjaciel carcy Katarzyny. Zaczęło się jeszcze wcześniej. Zaczęło się od szlacheckich przywilejów, które utoczyły jedną warstwę narodu, zatrąły ją dosytem i ślepym, sprzedawczykowski egoizmem. Warszawa pierwsza, to była ta sama warstwa. Rozrosła, spotężniała o adoptowanych synów, obsługiwana przez biurokratyczny aparat, zepsuty, sparszywiały w tej szubie, przez usłużnych agentów, którzy za skromną prowizję frymarczyli sprawami społeczeństwa, przez fachowców, którzy reformowali oświatę tak aby do nauki nie dobił się chłopski i robotniczy syn, przez polityków, którzy mówili o elicie, o kierownikach narodu, przez wojewodów i ministrów, którzy przygotowywali dla «ludu» «panem et circensibus», suchy chleb i zabawę w żyłki i kastety z Żydami. Wróg stał u granic kraju, a ta Warszawa pierwsza, ta pierwsza brygada, politycznie obwarowywała swe stanowiska i przywileje, swą wyłączność, swą władzę, jedynostkę swą zbrodniczą głupoty. O Warszawie druga! O Polsko dojrzała i mocna, świadoma i zatroskana, dlaczego czekałaś? Dlaczego nie strząsnęłaś z

siebie tej żarłocznej gromady? Przedtem, przedtem, nim przyszedł wróg...

Koła skrzypią wolniej, i z obydwu stron zbiegają się do szosy białe domy. Są trupio blade, zamknięte i nieme. Lecz z ciemnych przejść między niemi wylaniają się ludzie. «Czuwamy» — powiadają, pytają, czy czego nie trzeba, i znowu opływają nas akcent śpiewny i słowa proste, brzmiające jak wyznanie uczucia. «Już zaraz będzie świtac, — powiadają, — i trzeba się spieszyć». Sprowadzają z górki konia, przyciągają wóz, i wiezie nas żydowska furmanka. Przewiewa chłodny, wilgotny, wiatr, jak zawsze przed świtem.

*

Na furmance, która nas teraz wiezie, jest mało słomy. Osuwamy się z wolna, zapadamy coraz głębiej, skuleni ciasno jak kupka kuropatw na mrozie. Chwiera się senne głowy. Ramiona i biała objają się o twarde krawędzie wozu. W taki ruch kół. Ręka Piotra podchodzi nieznacznie i chroni moje ramie. Jest ciepła i dobronliwa. Otwieram oczy. Jest noc głęboka, zagasty gwiazdy, mocna przestrzeń zdaje się tajemnicza, wroga i bez kresu. Tylko ręka Piotra chroni.

Miłość do Piotra zawsze podszyta była niepokojem i zawsze miała tło szerokie, wybiegające daleko poza uścisk jego ramion. Kiedy przychodził, przemierzał zrazu pokój długimi krokami, jakby przynosił ze sobą wielką przestrzeń, docierał do najdalszego kąta pokoju i mówił o rzeczach, które działy się na samych granicach kraju. Siadał na fotelu, i był to jakby spoczynek po długiej wędrówce, którą odbył, opowiadając co się działo na kresach wschodnich, w Małopolsce środkowej i na Śląsku. Kiedy chwycił moją rękę i przyciągał ku sobie, zatrzymywałem mię moich ust i mówiłem:

— Wiesz co było w Przeworsku? Chłopi się burzą! Chłopi walczą!

Potrząsał moją ręką, jakby chciał wstrząsnąć mię odgosem setek tysięcy kroków, patrzył mi w oczy, jakby chciał przełać w nie obraz niezmiernego tłumy, podniesionych pięści i podniesionych głów. Ustami dotykał już moich ust i mówił jeszcze:

— Rozumiesz? Nie chcą wyższych cen za zboże, nie chcą obniżenia podatków, nie chcą zmiany urzędników, chcą rządzić krajem!

Składał na moich wargach pocałunek gorący, zwycięski, oczekiwany od dawna, przyciągał mnie ku sobie radośnie, z wiarą w przyszłość. Kiedy wybuchły strajki chłopskie, przybiegł i wołał już na progu:

— Ta krew, to cement pod przyszłą Polskę! Będziemy chłopską demokracją!

I znowu chodził po pokoju burzliwym, znacząc gwałtownymi krokami niepostrzymany pęd dziejowego procesu, zatrzymał się nagle i mówił, że jesteście spóźnieni, patrzył na mnie chmurnie, jakby chciał, abym nie zapominał, że czekają nas jeszcze ciężkie walki.

— Nie będzie łatwo — szeptał. Ale kiedy przybliżył się do mnie, był ciepły i radosny, zapuszczał palce w moje włosy i opowiadał swe rozmowy z chłopami, odchyłał mą twarz i zapatrzyony w nią uważnie, mówił ze zdumieniem, jak bardzo zmieniła się umysłowość chłopska w ciągu ostatnich dwudziestu lat, jak bardzo dojrzała.

Niekiedy przychodził przynębiony. Zamykał okna, przez które dochodził stuk młotków z budowy naprzeciwko, blacharz wisiał na wysokim dachu i wygrywał blaszaną melodję, Piotr zaciągał story, zamykał drogę słońcu, które stało nad Wisłą. W pokoju robił się półmrok, głosy dochodziły odległe, stłumione do szeptu. Zdawało się, że to szeptem budują się domy, szeptem przejeżdża autobus, nawet statek na Wiśle dawał tylko cichą syreną znak, że holuje barki z drzewem i zbożem. Pośrodku stawało nasze życie, Piotra i moje, nagle jedynie ważne, nagrzane swym własnym słońcem. Piotr mówił mi do ucha słowa gorące, napół zrumiałe, starsze od tych, którymi mówił do mnie zwykle. Potrząsałam jego ramieniem i prosiłam:

— Wróć! Wróć do dzisiejszego dnia. Tam na tych ciemnych drogach naszego spójnia była niepewna. Stracę go za chwilę, pójdzie swoim własnym szlakiem, trzymając mię mocno w objęciach, zapomni o mnie. Więc przytulona do niego, sprowadzałam go do siebie, stawiając ciche pytania:

— Czy możliwe jest, aby dokonano się bez rewolucji przejście od tego biurokratycznego feudalizmu do demokracji chłopskiej?

— Chłopsko-robotniczej — poprawiał, mając jeszcze oczy zamknięte. Przyciągał mnie ku sobie i rozstrzygał łatwo i łagodnie kwestję rewolucji: — Możliwe...

Na końcu dodawał:

— Ale będzie przecież wojna. W letnie południe w półświecie zaciemnionego pokoju, podsuwała się do nas wojna. Miała twarz zakrytą. Mięła łatwo.

— Wojna, to krwawy próg — mówił Piotr. — Przejdziemy. A za nim jest demokracja. Chłopsko-robotnicza — podkreślał.

STEFANJA ZAHORSKA.

(*) Ustęp z większej całości.

Inauguracja wykładów na Uniwersytecie Polskim Zagranicą

w dn. 22 stycznia 1940 r.

Stanisław Stroński

Odwieczne stosunki polsko-francuskie

Tysiąc lat temu pierwsi Piastowie, założyciele państwa polskiego, kładąc jego podwaliny, wiedzieli, że tworzą je przeciw naporowi Niemiec, kiedy nawała niemiecka, za Henryka Saskiego i margrabiego Gerona, w pierwszej połowie X w. parła na wschód jako wróg najgroźniejszy. Oni nie tylko to wiedzieli, oni to z dnia na dzień widzieli, oni też żyli. I dlatego rzec można, że w zaraniu dziejów naszych, w pełni świadomości przewodnią myślą polityczną państwa polskiego było żeby ponad głowy niemieckie szukać styczności z Zachodem.

Więc Mieszko I w r. 965 zakłada pierwsze biskupstwo poznańskie, doskonałe rozumując, że trzeba by ono było niezależne i żeby nie podlegało arcybiskupstwu magdeburgskiemu. Dopiero później w Niemczech sfałszowano bullę papieską na rzecz twierdzenia, że to od arcybiskupstwa magdeburgskiego zależne było biskupstwo poznańskie. Jeśli bowiem pięć lat temu Mussolini powiedział, że Italia miała dwa tysiące lat temu Augusta, kiedy Germanie pisma jeszcze nie znali i nie przeczuwali, iż można pismem cokolwiek przekazywać potomności, to jednak dodać i przyznać można, że gdy tylko Niemcy nauczyli się pisać, odrzucając nauki się i fałszować.

Gdy Bolesław Chrobry, w r. 1000, miał przyjąć w Gnieźnie cesarza Ottona III, postarzał się naprzód sam, wprost w Rzymie, o stworzenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, tak iż Otto zjawił się w Gnieźnie nie jako nadawca arcybiskupstwa, ale jako pielgrzym do grobu św. Wojciecha.

Podobnie w przyjmowaniu oświaty, której siedzibami były wówczas klasztory i kościoły, rozumiano dobrze w Polsce, iż trzeba szukać styczności wprost z Zachodem poza Niemcami. Więc w w. XI i XII przybywają z Francji Benedyktyńcy i Cystersi, o których tyle nowego powiedział nam w swych odkryciach długoletni u nas badacz obecny tu, abbé David. Gdy zaś w w. XIII powstały na Zachodzie nowe zakony Dominikanów i Franciszkanów, niezwłocznie, po kilkunasu latach, są już ich klasztory w Polsce i to tak bardzo polskie, że np. u Dominikanów w Krakowie, którzy dali Polsce dwóch świętych, Czesława i Jacka, koło r. 1275 nie mógł ktoś, jak powiadają stare zapiski, znaleźć ani jednego zakonika mówiącego po niemiecku.

Skoro zaś tak było, to jednak trzeba sobie powiedzieć, że nasze ówczesne stosunki z Zachodem i w szczególności z Francją były znacznie żywsze i bogatsze, niż nam się pospolicie wydaje i niżby wynikało z nielicznych śladów.

A dlaczego tych świadectw jest tak mało? Oto dlatego, że jeśli między Francją a Polską owej doby były styczności, to były i różnice. Galja weszła w krąg starożytnej cywilizacji łacińskiej dwa tysiące lat temu, a stała się Francją chrześcijańską półtora tysiąca lat temu, gdy Polska przyjęła chrześcijaństwo dopiero przed tysiącem lat. Więc w dobie naszego średniowiecza, po r. 1000, kiedy Francja jest krajem o ustalonym odwiecznym trybie życia, w którym gromadzą się pomniki i świadectwa pisane, w Polsce jest jeszcze mroczno, ponieważ zaś wystawiona ona była na przewzię dziejowe szczególnie dotkliwie, trudniej też zachowywały się wszelkie zabytki i świadectwa.

Aby sobie uprzytomnić te różnice, dobrze będzie zestawić, dla przykładu, stan wiadomości o najstarszej pieśni francuskiej Chanson de Sainte Eulalie, która powstała koło r. 880, ze stanem wiadomości o najstarszej pieśni polskiej, naszej Bogurodzicy.

Pieśń o św. Eulalii, która zrodziła się na samej północy Francji, w okolicy Valenciennes, opowiada o śmierci męczenniczej dziewicy tego imienia, za cesarza Maksymjana. I rzeczywiście wiemy, że za tego cesarza, wnet po r. 300, poniosła śmierć męczenniczą w Meridzie, w Hiszpanji środkowej, chrześcijańska Eulalia, a wkrótce potem Prudentius, łaciński poeta chrześcijański w Hiszpanji w IV w., wspominał o tem w jednej ze swych pieśni. Ponieważ jednak wspominał w obrazie takim, jakby to się działo w obliczu cesarza Maksymjana, który nigdy nie był w Hiszpanji, więc w VII w. biskup Barcelony, którego to raziło, poprawił i napisał, że Eulalia zginęła w Barcelonie z rozkazu prefekta Dacjana. A w początku VIII w. wielki uczony Beda uporządkował jak mógł te wiadomości. Otóż zdarzyło się, że w r. 878 biskup Narbony wpadł na myśl udania się do pobliskiej Barcelony po relikwie św. Eulalii. Tam nie wiedziiano i nic mu nie dano, ale gdy odjechał, powiedziano sobie, że warto poszukać. I znaleziono szczątki, a w r. 879 przeniesiono uroczystość w t. zw. translatio do katedry której świętością są one podziśdzieli. O tej translatio posła wieść po całym świecie katolickim. Dotarła ona również do klasztoru koło Valenciennes, którego założycielką miała imię Eulalia. I dlatego tam, pod tem wrażeniem, napisano pieśń o św. Eulalii. Zachowana jest ona w rękopiśmie w ten sposób, że wpisano ją razem z pieśnią o zwy-

rem Wasylem, mającym otrzymać Kijów, Smoleńsk i Połock kosztem Polski. Następnym tych zabiegów środkowoeuropejskich jest w r. 1515 zjazd i układ wiedeński, niepomyślny dla Jagiellonów, bo miał on Węgry i Czechy oddać wkrótce spod ich wpływu pod wpływy Habsburgów. A w marcu 1517 Dietrich von Schönberg, wiele zaufany doradca Albrechta Hohenzollerna, wielkiego mistrza krzyżackiego, zawiera w Moskwie z carem Wasylem pierwsze w dziejach, lecz nie ostatnie, przymierze prusko-moskiewskie, mocą którego Moslał miał pomóc Prusakowi w pochodzie na Kraków. Do tego nie doszło, ale Zakon Krzyżacki zdołał wśród tych knowań przedziurnąć się, w drodze nieszczerego hołdu pruskiego z r. 1525 na rynek krakowski, w świeckie księstwo wschodniopruskie, które niebawem w połączeniu z Brandenburgią stanie się podwalnią potęgi Prus pod Hohenzollernami. Ołów w tej dobie nie brakło w Polsce myśli politycznej, która przeciw naporowi z dwu stron i kumanom się niemiecko-moskiewskim zaleca już wtedy zbliżenie Polski z Francją, a przedstawicielami tej myśli były dwie mocno zarysowane postaci ówczesne, świątły prymas Jan Łaski i mądra królowa Bona.

Bezpośrednio po wygaśnięciu Jagiellonów godna pamięci jest chwila powołania na tron, dn. 11 maja 1573, jako pierwszego króla z wolnego wyboru, Henryka d'Anjou, którego na polu elekcyjnym poszczono na Henryka Gaweńskiego. Nie osoba jego zasługuje na szczególnie wzniosłe wspomnienie. Ale gdy panowie polscy przybyli do Paryża po króla i w Notre-Dame złożyli on przysięgę dnia 10 września 1573, stając zarazem pierwsze wczyste przymierze polsko-francuskie, którego akt pergaminy ze wspaniałymi pieczęciami podpisujących jest do dziś zachowany. A gdzie? Dowiedzieliśmy się o tem w r. 1927, gdy przybyliśmy, jako grupa posłów i senatorów, w odwiedziny do Francji. Podejmowano nas wówczas i w senacie, gdzie odbyliśmy wspólne posiedzenie z komisjami spraw zagranicznych izb francuskich, a przed tem posiedzeniem senator Bérard przyniósł ów dokument, objaśniając że przechowywany jest on stale nie w ogólnych Archives, gdzie spoczywają dokumenty spraw przedawnionych, ale w ministerstwie spraw zagranicznych na Quai d'Orsay, gdzie złożone są dokumenty spraw żywych, affaires vivantes.

Wspomnę jeszcze tylko czasy Jana Sobieskiego, który wkrótce po wyga-

śnięciu swym sławą żołnierską na tron zawarł w Jaworowie dnia 11 czerwca 1675 tajny układ sojuszniczy z przedstawicielem Ludwika XIV, posem Forbin-Jansone. Celem było pozyskanie przez Polskę Prus Wschodnich w walce z Hohenzollernami, oraz odzyskanie Śląska przeciw Habsburgom. Trudno o większą myśl polityczną w podłożu przymierza polsko-francuskiego. A co znamienne, obok tego sojuszu, to natychmiastowe zawarcie przeciw niemu, dnia 22 października 1675 w Moskwie sojuszu niemiecko-rosyjskiego cesarza Leopolda z carem Aleksym.

Nie będę już mówił o w. XVIII, w którym o stosunkach polsko-francuskich tyle mówi nazwisko Leszczyńskiego, a później doba Sejmu Wielkiego, ani o Napoleonie i o Polsce, o czym za chwilę usłyszymy słowa najlepszego znawcy, ani o w. XIX jako stuleciu wielkiego wychodźstwa polskiego we Francji, aż do odrodzenia państwa polskiego w w. XX i zarazem odzyskania sojuszu Polski z Francją.

Ale trzeba stwierdzić, że w parze z zacieśnianiem się stosunkami politycznymi sło też pogłębianie się zażyłości duchowej i splatanie się twórczości dwu narodów. W w. XVI, za Kochanowskiego i Ronsarda, są to jeszcze zbliżenia tylko przelotne. W w. XVII, w którym dwie królowe Francuzki z rodu, wybitnie działają w Polsce, naprzód znakomita Marja Ludwika, a potem Marysińska, już wpływy znacznie się pogłębiają, i wystarczyć bodaj wspomnieć, że ten Sarmata okazał się Jan Sobieski, był zamodu we Francji i znakomicie z życiem Francji był obeznany. Wiek XVIII rozpręścił bardzo szeroko w Polsce znajomość twórczości francuskiej, i pamiętałem dobrze, jak się o tem przekonaliśmy, gdy stawałem pierwsze kroki w Bibliotece Ossolińskich, jako pomocniczy pracownik z ławy uniwersyteckiej, odkrywając całe współczesne biblioteki francuskie, które były wówczas tak częste po dworach polskich. A wreszcie w XIX i XX w. zbratanie twórczości polskiej z francuską jest niemal bezprzykładnie ściśle.

Wiadomo zaś, jak to wskazuje trzeci z dzisiejszych wykładów, że w tych stosunkach Polski z Francją nie tylko braliśmy, ale też, bywało, dawaliśmy niejedno. Dzisiaj, gdy widzimy, że w ciągu ówierwiecza po raz drugi Francja i Polska walczą sojusznico o wspólną sprawę, zdajemy sobie z tego sprawę, że odwieczne stosunki polsko-francuskie stały się też nierozdzielnie wczyste.

Wspomnę jeszcze tylko czasy Jana Sobieskiego, który wkrótce po wyga-

śnięciu swym sławą żołnierską na tron zawarł w Jaworowie dnia 11 czerwca 1675 tajny układ sojuszniczy z przedstawicielem Ludwika XIV, posem Forbin-Jansone. Celem było pozyskanie przez Polskę Prus Wschodnich w walce z Hohenzollernami, oraz odzyskanie Śląska przeciw Habsburgom. Trudno o większą myśl polityczną w podłożu przymierza polsko-francuskiego. A co znamienne, obok tego sojuszu, to natychmiastowe zawarcie przeciw niemu, dnia 22 października 1675 w Moskwie sojuszu niemiecko-rosyjskiego cesarza Leopolda z carem Aleksym.

Nie będę już mówił o w. XVIII, w którym o stosunkach polsko-francuskich tyle mówi nazwisko Leszczyńskiego, a później doba Sejmu Wielkiego, ani o Napoleonie i o Polsce, o czym za chwilę usłyszymy słowa najlepszego znawcy, ani o w. XIX jako stuleciu wielkiego wychodźstwa polskiego we Francji, aż do odrodzenia państwa polskiego w w. XX i zarazem odzyskania sojuszu Polski z Francją.

Ale trzeba stwierdzić, że w parze z zacieśnianiem się stosunkami politycznymi sło też pogłębianie się zażyłości duchowej i splatanie się twórczości dwu narodów. W w. XVI, za Kochanowskiego i Ronsarda, są to jeszcze zbliżenia tylko przelotne. W w. XVII, w którym dwie królowe Francuzki z rodu, wybitnie działają w Polsce, naprzód znakomita Marja Ludwika, a potem Marysińska, już wpływy znacznie się pogłębiają, i wystarczyć bodaj wspomnieć, że ten Sarmata okazał się Jan Sobieski, był zamodu we Francji i znakomicie z życiem Francji był obeznany. Wiek XVIII rozpręścił bardzo szeroko w Polsce znajomość twórczości francuskiej, i pamiętałem dobrze, jak się o tem przekonaliśmy, gdy stawałem pierwsze kroki w Bibliotece Ossolińskich, jako pomocniczy pracownik z ławy uniwersyteckiej, odkrywając całe współczesne biblioteki francuskie, które były wówczas tak częste po dworach polskich. A wreszcie w XIX i XX w. zbratanie twórczości polskiej z francuską jest niemal bezprzykładnie ściśle.

Wiadomo zaś, jak to wskazuje trzeci z dzisiejszych wykładów, że w tych stosunkach Polski z Francją nie tylko braliśmy, ale też, bywało, dawaliśmy niejedno. Dzisiaj, gdy widzimy, że w ciągu ówierwiecza po raz drugi Francja i Polska walczą sojusznico o wspólną sprawę, zdajemy sobie z tego sprawę, że odwieczne stosunki polsko-francuskie stały się też nierozdzielnie wczyste.

Stanisław Kot

Co wniosła Polska do kultury powszechnej?

O tem co wniosła Polska do kultury powszechnej, wypada mi mówić w chwili, kiedy się zaprzecza wszelkiej kulturalnej roli Polski w historii. Niemcy usiłują dziś wzmóc w świat, jakoby Polska nawet własnej kultury nigdy nie tworzyła. Aby nadać temu cechę prawdopodobieństwa, muszą zamknąć szkoły, biblioteki, niszczyć pomniki, wywozić dzieła sztuki i t. p. Ludzki jest jakoby przez te zniszczenia i mogli zatrzeć ślady i wielkiej kultury i jej doniosłej roli dziejowej.

Były wprawdzie epoki w historii, kiedy najazdy barbarzyńskie ruinowały kwitnące prowincje w rzenię. Właśnie Germanie w VI i VII w. doprowadzili do tego, że potężna i bogata kultura rzymska została zniszczona i prawie przepadała. W tej epoce było to możliwe, gdyż najazd objął Wschód i Zachód i trwał tak długo, aż wygasyło pokolenia wychowane w kulturze rzymskiej i terytorja oprowadzone zostały przez nową ludność, która ani jej cenić nie umiała, ani jej poznać nie mogła, choćby z zabytków, nie znając nawet sztuki czytania. Dziś Niemcy, pomimo swych zamiarów niszczytelnych, są wyspą osobobną i choć szaleją na ziemi polskiej, kultury polskiej nawet nie zdają się osłabić, gdyż do naprawienia szkód pomoże Polska otaczająca ją ogólnowiatowa atmosfera kulturalna.

Misja kulturalna Polski napotkała w dziejach na wielkie trudności, przede wszystkim spowodowane nieszczerą korzyźnym wyborem terytorjum, na którym osiadły polskie plemiona. Terytorjum to, pokryte lasami i bagnami, nie mogło się równać z przywiejanymi sąsiednimi, zajęłymi przez Niemców. Niemcy korzystali ze spadku Rzymian w dorzeczu Renu i Dunaju, spadku, który jednak nie przekroczył Bramy Morawskiej. Na ziemię polską nie docierali apostołowie z dalekiego Zachodu czy Południa, przynoszący z sobą idee, wiedzę i doświadczenia. Na tej ziemi samo plemię polskie musiało wykonać olbrzymią pracę, którą gdzieś indziej młode narody miały ułatwioną przez nieprzerwalny ciąg wysiłku kulturalnego.

To uźyźnienie kulturalne dorzecza Odry i Wisły dokonane zostało jeszcze w średniowieczu, od w. X do XV, a rezultatem jego było przeniesienie słupów kultury zachodniej aż poza Bug i San. Zdumiony obserwator włoski, by-

stry Filip Kallimach mówił o tym wysiłku wobec papieża w r. 1490: «Na tak ogromnym obszarze ziem jednakowy jest lud i naród, nie różni się ani obyczajami ani językiem ani urzędzeniami, zespolony zgodnością we wszystkich sprawach boskich i ludzkich, tudzież prawem; jeśli wziąć pod rozwagę jego zamiatowania, chęci, wreszcie pewnego rodzaju jedynomyślność we wszystkich poruszeniach, rzekłbyś, że to raczej dom jeden i rodzina, aniżeli naród».

Od w. X do XII naród polski był wolnym uczniem mistrzów z Zachodu; od w. XIII już uczył się sam, a w w. XV stanął do współpracy twórczej około podniesienia kultury ogólnowiatowej, nie tylko materialnej, ale duchowej, filozoficznej, humanitarnej. Ta właśnie uprawa terytorjum barbarzyńskie, pierwotnego a tak trudnego i rozległego, jest największym wkładem, jaki Polska średniowieczna wniosła do ogólnego dorobku kultury powszechnej.

Niemcy twierdzą dzisiaj, że to nie był wysiłek narodu polskiego, lecz zaśluga osadników niemieckich. Nie będą zaprzeczać wartościom, jakie wniosła kolonizacja niemiecka, ale niepodobna zapomnieć, że Niemcy sami przychodzili jako starsi uczniowie cywilizacji rzymskiej, nie tylko w dziedzinie duchowej, ale także materialnej (budowa osad, gospodarka trójpolowa, technika artystyczna).

Na wydłoneczone przez najazdy tatarskie ziemie przychodzili po chleb i bogactwo, korzystali z wielkich swobód polskich, dzięki którym sami się asymilowali do obyczaju polskiego. Nie oni nadal piętno kulturalne fizjonomii tych ziem, ale polski żywioł ziemski, t. j. szlachcic i chłop, których oblicze duchowe jeszcze w w. XV było jednolite. Sami Niemcy ulegli wpływowi i czarowi kultury polskiej, która ich wchłonęła.

Już z końcem wieków średnich Zachód wiedział o odrębności kultury polskiej i zwracał uwagę na swoisty «mos polonicus». Cechami tego obyczaju polskiego były, obok rysów nieco wschodnich, przedewszystkiem łagodność, uprzejmość, gościnność. «Dulcedo moris polonici», słodycz kultury polskiej, stanowiła największą jej siłę atrakcyjną. W przeciwieństwie do Polaków Niemcy odznaczali się czemś twardym w charakterze i obcowaniu

z ludźmi. Francuzi umieli rychło zauważyć te znamienne rysy, różniące oba narody.

Pewnych znamion podniosłości dawała kulturze polskiej jej rola kreatorska, rola przedmurza idei chrześcijańskiej w ujęciu rzymskim, którą już Rzym przed Machiavelem w XV w. na tle postępów Moskwy i Turków dostatecznie ocenił.

Cywilizację tę ręce polskie w w. XVI i XVII zaniosły i rozkrzewiły daleko ku Wschodowi, aż po Dniepr i dalej. Właśnie w okresie «potopu», kiedy mocarstwowa Polska zagasła, najsilniej żyła Polska kulturalna, najbardziej zabłysła siła atrakcyjna kultury polskiej na północno-wschodzie i południowo-wschodzie, w Moskwie i w Moldawji. Za okupacji moskiewskiej kolegium Piotra Mohiły w Kijowie utrzymywało polski program i język. Święty prawosławny, Dymitr Tuptało, zaprowadził w odległym Rosławie wykład języka polskiego. Otoczenie cara Aleksiego uległo wpływom polskiemu, następcą jego Fedor nauczył się po polsku.

Przeniesienie kultury zachodniej aż poza Dniepr jest największą zasługą Polski dla Zachodu. Zdobywiec wielkiej masy ludności pierwotnej, ograniczenie ogromnych obszarów — pomimo trudnych warunków — myślą, nauką, ideą i obyczajem kulturalnym, oto dzieło Polski. Dzięki niej ziemie daleko ku wschodowi wysunięte żyły temu samemu zagadnieniom filozoficznym, politycznym i naukowym, które poruszały umysły we Włoszech, Francji i Anglii.

Gdybyśmy usiłowali śledzić wielkie idee kulturalne, które w dziejach zrosły się z imieniem Polski, na pierwszy plan wysuwa się idea zbliżenia narodów: współżycie z Rusią i grecką wiarą miało charakter nie zaboreczy i w oczach całego świata operowało się na dobrej woli obydwóch stron. Jak Polacy kruszyli kopję w obronie poszanowania cudzej wiary, nawet pogąbskiej, złożył dowód delegat Polski na soborze konstantynkim, profesor krakowski Paweł Włodkowicz, z naciskiem sprzeciwiając się krwawej krucjacie Niemców dla nawracania pogąbskiej Litwy. Ideologia związku dobrowolnego, wyrażona w unji horodelskiej, a potem lubelskiej, znalazła żywe echo w świecie ówczesnym. Pruski żywioł niemiecki, Niemcy z Inflant, sami się zgłaszają pod skrzydła polskie. Tak działała wolność polska i tak żywa była jej świadomość u ludków sąsiednich, nawet w Moskwie. Gdy na Zachodzie szalały gwałty i zabory, Polska dawała wzór unji narodów o charakterze dobrowolnym. Nie uchodziło to uwagi obcych.

Elekroć znawcy prawa politycznego omawiali różne sposoby powiększenia obszaru państw, jak zabór, kupno, małżeństwo dynastyczne, jedynym przykładem na zjednoczenie dobrowolne była tylko Polska dzięki unji z Litwą. Nawet zacięty wróg Polski, niemiecki profesor na żóldzie szwedzkim, Hermann Conring, w r. 1675 musiał przyznać: «Ta sztuka zwyciężyli Polacy wiele narodów, przypuszczając je do równej wolności we wszystkim, jak to ongi czynił Romulus przy zakładaniu rzeszypospolitej rzymskiej».

Druga wielka idea, jaką świat z Polski czerpał, była tolerancja religijna. Gdy Zachód broczył w wojnach religijnych, Polska dążyła do usunięcia wszelkich tarć na tem tle, starając się o wzajemne zrozumienie różnic religijnych. Jeszcze przed wystąpieniem Lutera, ojciec literatury polskiej Biernat z Lublina w r. 1515 wywozili, że nie należy ludziom narzucać szczegółów wyznaniowych czy liturgicznych, poza zasadami Ewangelji, że ludziom wolno szukać prawdy według własnego rozumienia i że za to nikogo potępiać nie należy. W okresie reformacji Polska dopuściła u siebie różnorodność wyznań, za co potępiana była zarówno przez Rzym jak i Genewę («Była to idea diablowska» — obrażał się Beza w r. 1570).

O zastosowaniu w rzeczywistości tolerancji religijnej świadczy konfederacja warszawska z r. 1573.

Tolerancja polska bardzo się różniła od różnych kompromisów i ugód wyznaniowych, które przyniósł w XVI. Najpierw przez to że gdy wszystkie one były rezultatem krwawych wojen i narzucone zostały przez władzę monarcha skłóconym poddanym, konfederacja warszawska jest dziełem samego społeczeństwa, bo uchwalona po śmierci Zygmunta Augusta na tym sejmie konwokacyjnym, który przygotowywał sposób obioru nowego króla. Po wtóre, wszystkie ugody obce dopuszczały tolerowanie jedynie dwóch naczelnych kierunków religijnych, a jedynie polska konfederacja wcieliła prawdziwą ideę tolerancji, obejmując nią wszystkie kierunki wyznaniowe. W okresie nocy św. Bartłomieja uchwalona warszawska była światłem w ciemności dla tych narodów, które odczuwały tragedję wojen religijnych. Dyploma-

ta Hubert Languet takiego argumentu użył wobec króla Karola IX: «Jest to rzeczą stwierdzoną, że w królestwie polskim, które jest jedno z największych w chrześcijaństwie, od wieków mieszczą się koło siebie religia grecka i rzymska, w wielu nawet miastach są kościoły jednej i drugiej. Od kilku znów lat większość szlachty przyjęła wyznanie protestanckie i wcale nie widzimy, by państwo przez to uległo zamieszanu, że rządzone jest przez ludzi różnych religij a główne urzędy są im rozdawane bez różnicy».

Jak jeszcze za okrzykanego o fanatyzm Zygmunta III Wazy wyróżniła się Polska tolerancją ponad inne narody, świadczy arjanie, którzy po śmierci tego króla ułożyli modlitwę zań z wdzięcznością, iż dotrzymał swej przysięgi królewskiej i mimo poduszceń roznamiętniających się tłumów nie użył władzy królewskiej do niszczenia niemitych sobie obozów religijnych.

Za tę tolerancję jeszcze w okresie colloquium religijnego w Toruniu, za Władysława IV, wielki Hugo Grotius sam się nazywał «czcicielem imienia polskiego (cultor nominis Polonici)». Kiedy u nas cofnęła się tolerancja religijna dzięki nieszczerzej ewolucji w drugiej połowie XVII i pierwszej XVIII w., zyskała Polska na Zachodzie opinię państwa fanatycznego, nietolerancyjnego. Wyznawcą jednakże i wcielac w życie pokój religijny u siebie, w okresie krwawych wojen religijnych, było trudniej, aniżeli to przychodziło narodom Zachodu w w. XVII, po wielkiej ewolucji myśli filozoficznej i naukowej.

Trzecia idea, która w świadomości powszechnej zrosła się z Polską, była idea narodowa. W Polsce świadomość narodowa rozwinęła się bardzo wcześnie, bo już w wiekach średnich na tle konfliktu z Niemcami. W okresie przywilejów stanowych szlachta ją w pewnej mierze spacyła, ale znów na tle tragedji XVIII w., głównie pod wpływem rozbiorów, zabłysła wcześniej i silniej niż gdziekolwiek indziej. Promieniowała ona z wysiłków zbrojnych konfederacji barskiej, których echo natłęło powstanie dzieła, stanowiącego dla wielu narodów podbudkę do uświadomienia sobie idei własnego charakteru narodowego. Mianowicie J. J. Rousseau, gdy kreślił swoje «Uwagi o rządzie polskim», pozostawał pod wpływem inspiracji polskiej, podnosząc potężną ideę ducha narodowego. Pisał on m. in.: «Polska była wprawdzie w okowach rosyjskich, ale Polacy pozostali wolnymi. Wielki przykład, wskazujący, w jaki sposób można wyzwać potęgę i ambicję sąsiadów. Nie możecie przeszkodzić aby was nie poknęli, postarajcie się przynajmniej aby was nie mogli strawić. Cnota obywateli, ich gorliwość patriotyczna, in tylko pałacy wykształci, jaki przybrały ich dusze pod wpływem narodowych urzędzeń, oto jedyne wały, zawsze gotowe do obrony Polski, a których żadna armja zdobyć nie zdoła».

Walki Polaków w różnych stronach świata pod sztandarami rewolucji francuskiej i Napoleona roznoszą wszędzie ideę narodową. Nawet znakomity Prusak, baron von Stein, w r. 1807 zauważał w historii polskiej zjawiska, które «przez wysoki rozum, nieustraszoną odwagę, płomienną miłość ojczyzny dosięgają najwznioślejszych rysów, jakie zna historia narodów».

W postanowieniach kongresu wiedeńskiego po raz pierwszy stwierdzono językiem urzędowym dyplomacji, że dzięki Polakom świat zrozumiał, iż naród nie pokrywa się z państwem, iż można nie mieć państwa pozostając narodem, iż zachowanie się istotne cechy i uprawnienia narodowe nawet będą rozdrtami między trzy państwa. Wielka emigracja, walcząc o ideę narodową w różnych stronach Europy i dając jej wyraz w najrozmaitszych wysiłkach, jeszcze mocniej zespoliła uświadomienie idei narodowej w Europie z imieniem Polski.

Nie będę wymieniał wielkich nazwisk uczonych, artystów, myślicieli, odkrywczym, którzy przyczynili się swym geniuszem do wzbogacenia kultury powszechnej. Chodzi mi o idee, które Polska jako całość reprezentowała przed innymi i wniosła do ogólnej świadomości świata.

Dziś przeżywamy ponury okres granicy kultury polskiej. Możemy zapewnić nowoczesnych Hunnów, że jak za Kallimacha naród polski cały w swojej świadomości jest jednolity, i to nie tylko w znaczeniu narodowym, ale i polityczno-państwowym. Każdy Polak, gdziekolwiek jest, jest dzisiaj skupieniem potężnej, świadomej energii. Ta energia wyda po odplynięciu nowoczesnego potopu wzmocnioną twórczość kulturalną. A zwycięstwo Polski nad barbarzyństwem Niemiec i Rosji będzie jednym z największych wkładów Polski do ogólnego dorobku kultury światowej.

Wykład gen. Marjana Kukiela „Napoleon a dzień dzisiejszy”

ukoże się w jednym z najbliższych numerów „Wiadomości Polskich”

BIBLIOTEKA POLSKA W PARYŻU I JEJ ZADANIA W CHWILI DZISIEJSZEJ

ROZMOWA Z DYREKTOREM BIBLIOTEKI FRANCISZKIEM PUŁASKIM

W samym sercu Paryża, na wyspie św. Ludwika, nieopodal od katedry «Notre Dame» i w pobliżu «Hôtel Lambert», — pośród starych, zadumanych domostw nad Sekwaną — stoi skromny, ale wirtuozowski w proporcjach, szary dom, z napisem: «Biblioteka Polska».

Dwa słowa «Biblioteka Polska», a ileż budzą one wspomnień i historycznych i literackich, ileż uczuć patriotycznych dawnych, ale witecznie żywych. Ileż przywołują w pamięć postaci zasłużonych i dostojnych, które pod tym skienieniem tak gościnnie dla nas otwartem — przechodziły długim i sławnym szeregiem, aż przeszły i rozproszyły się w odległości czasu.

Odeszli, ale symbol, któremu służyli niezłomnie, trwa na tem miejscu. — Oto przechodzień, idący od Sekwany, dostrzeże przez ten luk bram wejściowej w środku wirydara, wysoko, pomiędzy laury, wmurowaną postać orła naszego. Z murów warszawskich przyniosła go niegdyś wierna trójceń ręką. I stał się na tem miejscu arcyjagielloński w murze i w sercach.

ne, jak np. całe archiwum sejmu 1831 r., archiwum wojskowe 1830 r., archiwum belwederskie wielkiego księcia Konstantego, archiwum dawnej ambasady rosyjskiej XVIII w. i poszczególne ważne akta, jak np. akt detronizacji cara Mikołaja, na którym każdy położony podpis był świadomym na siebie wyrokiem śmierci tego, który go podpisał. Doszły czasem arcywizyta 1848 r., powstania 1863 r., niezliczona ilość pism, obrazujących życie emigracji i całą przebiegającą twórczość literatury romantycznej. Dokola tych zgromadzonych relikwii narodowych ogniskowało się życie całej elity intelektualnej XIX w. — każdy Polak przybywający do Paryża czuł się w obowiązku złożyć hołd pielęgnowanemu w tego ołtarza idei niepodległościowej. Kogo nie stać było na podróż do Paryża, ten starał się obcować z tym ośrodkiem życia narodowego, drogą wymiany listów, w których zawarta była cała tęsknota za niepodległością i wiara w tryumf sprawiedliwości.

Alle przyszłi czas, kiedy przeredzali się zaczęły szeregi patriotów, zgromadzo-

bezenny i starannie tu w Paryżu naukowo opracowany zbiór około 30.000 rycin, wśród których były, jak się później okazało, 294 ryciny Dürera i 64 akwaforty Rembrandta. Pozostawiono w Bibliotece Polskiej ryciny, dotyczące Polski, w liczbie powyżej 10 000. Obecnie

Z sali czytelni przechodzimy do sali wykładowej. Zapytujemy p. Pułaskiego, jaki jest charakter wykładów, urządzonych przez Bibliotekę Polską dawniej i obecnie. Pan dyr. Pułaski wraca znowu do okresu organizowania instytutu polsko-francuskiej współpracy intelektualnej.

którzy wobec uniemożliwionej podróży do Polski, prace swoje prowadziliby pod kierunkiem bawiących we Francji naszych profesorów.

«Tegoroczne wykłady «Centre d'Etudes» zostały związane z powstałym w lokalach Biblioteki Polskiej, z inicjatywą i pod kierunkiem prof. Oskara Haleckiego, Uniwersytetem Polskim Zagranicą. Temu wielkiemu naukowemu i narodowemu przedsięwzięciu będzie, jak słyszałem, poświęcony na łamach «Wiadomości Polskich» oddzielny artykuł.

Przechodzimy z sali wykładów uniwersyteckich do wielkiej sali o skromnych, ale dostojnych liniach architektonicznych. Zdobią je rzeźby, wykonane przez artystów francuskich, a przedstawiające postacie znakomitych Polaków. Są to medaliony Davida d'Aners i popiersia Lebruna. W głębi portret marszałka Piłsudskiego przez naszego artystę, ale krwi francuskiej, Stefana Norblina, ofiarowany Bibliotece ze składek emigracji polskiej. Obok tej sali gabinet z portretami Stanisława i Marii Leszczyńskich, ks. Adama Czartoryskiego,

Cennem w znaczeniu naukowym jest też wydawnictwo, które rozpoczęliśmy pod redakcją p. Żarnowskiego («La France et la Pologne dans leurs relations artistiques»), poświęcone polsko-francuskim stosunkom artystycznym. Wydawnictwo to odsondło szereg pierwszorzędnych dzieł sztuki, mających związek ze stosunkami polsko-francuskimi. Myślę, że «Wiadomości Polskie» zainteresują się niem, tu wspomnę nawiasowo tylko, że cała działalność artystyczna Ziarnki, Iwonianina, z początkiem XVII w., malarska na dworze francuskim, znalazła w tem wydawnictwie po raz pierwszy pełne zobrazowanie. W najbliższym tomie tego wydawnictwa mamy zamiar podać wykaz dzieł sztuki zniszczonych w Warszawie podczas ostatniego oblężenia. Dostosowując się do potrzeb chwili, Biblioteka Polska powołała do życia dwutygodnik p. n. «La Voix de Varsovie», którego redakcję objął prof. Halecki. Wydawnictwo to z jednej strony informuje społeczeństwo francuskie o «ogładach» Polaków na bieżące zdarzenia, a z drugiej — stara się być odwzajemieniem



Biblioteka Polska obraz Franciszka Pułaskiego

Bo ta, tak zwana «Biblioteka Polska», to nie tylko zbiór książek, to raczej nigdy niezdojdyt szaniec polskości. To ta, istotnie szczęśliwa cząsteczka Polski, zawsze wolnej, która nigdy nie pochyliła czoła przed żadnym najeźdźcą, żadnego z żadną stolicą zaborczą nie zawarła kompromisu, a zawsze była rzeczniczką idei wolności i niepodległości. Wielkością serca i ducha naszych wieszczów, którzy głosili stąd przykazania narodowe, stała się symbolem Polski i przedstawicielką jej nieśmiertelnych wartości duchowych.

Kiedy grupa Polaków wejdzie przez te wrota na zamknięte podwórko Biblioteki — cichnie gwaru ich rozmowa. Nakazują ciszę i skupienie wielkie nazwiska polskich wodzów oręża i ducha, złożeni głoskami na marmurowych tablicach wyrzeźbione: Mickiewicz Adam i wierny mu syn Władysław — Niemcewicz i Karol Sienkiewicz — generalowie Kniaziewicz i Bem — księżęta Adam i Władysław Czartoryscy — Słowacki i Krasiński — Bohdan Zaleski i Chopin — Klaczko i Kalinka, a obok nich tyle innych nazwisk, niemal wszystkie, które stanowią polski panteon XIX w. Każdy z nich dał coś z siebie, a niejed-

nych przy Bibliotece Polskiej. Większość znakomitych postaci wielkiej emigracji wymarła. Wówczas w 1892 r. Biblioteka została przekazana krakowskiej Akademii Umiejętności, ale pod warunkiem dalszego jej utrzymywania w Paryżu, jako biblioteki publicznej. Zgodzili się na to nie bez trudu rządy francuski i austriacki. Ten z powodów fiskalnych zastrzegł, że Akademia nie może łożyć na tę instytucję z własnych funduszy, czy też z dotacji rządowych.

Od tego czasu Biblioteka Polska została złączona z powstałą wówczas stacją naukową Akademii, a jej długoletni delegat Władysław Mickiewicz (1892—1926) utworzył przy Bibliotece Muzeum im. Adama Mickiewicza, zawierające większość cześć jego pamiątek, rękopiśmienną, jego bibliotekę, pamiątki, rzeźby i portrety.

Alle o ile Biblioteka, złączona z nią Muzeum i stacja Akademii wzrastały w znaczenie i w zasoby naukowe, o tyle stan materialny pozostawał wiele do życzenia. Ostatni cios zadała wojna. Kapitały się zdevalowały, dom nabyty ze składek (w r. 1852), obarczony długami, popadał w zupełną ruinę, tak że władze miejskie coraz ostrzejsze nadsyłały upomnienia; trudno się było temu przeciwstawić, bo

zbiory biblioteczne ograniczono tylko do rzeczy polskich; starannie kompletowane w ciągu lat kilkunastu, liczą one około 150 000 tomów, skatalogowanych w porządku imiennym i rzeczowym. Oprócz tego istnieje poważny zbiór rękopisów (katalog w druku), bogaty zbiór kartograficzny, a potem bezenny i stanowiący prawdziwy skarb narodowy zbiór rękopisów Adama Mickiewicza (katalog ogłoszony drukiem) i pamiątki po nim, trudem całego życia Władysława Mickiewicza zebrał.

Całość tych zbiorów stanowi niemal kompletną dokumentację rzeczy polskich, naszej historii, literatury, sztuki, dziejów języka, stosunków gospodarczych, etnograficznych i t. d. Ze zbioru tego korzystają nie tylko mieszkańcy Paryża dzięki odpowiednio zorganizowanej i stale otwartej czytelni, ale też biblioteki francuskie i zagraniczne (powyżej 150), z którymi jesteśmy w stosunkach wymiennych.

Na zapytanie, jak ten zbiór biblioteczny przystosowuje się do obecnych potrzeb naukowych i państwowych, p. dyr. Pułaski wyjaśnia, że podjął dwa trudne zadania: zakupienia możliwe wszystkich ważniejszych wydawnictw o Polsce, pojawiających się w okresie wojny obecnej, a to w tym celu, by ten okres naszych dziejów

CENTRE D'ETUDES POLO-NAISES I UNIWERSYTET POLSKI ZAGRANICĄ

— Po kilku latach pracy nad organizacją instytutu polskiego w Paryżu, zdaliśmy sobie sprawę, że dla owocności polsko-francuskiej współpracy intelektualnej nie można polegać tylko na węzłach przyjaźni, jaką zawiązała dawna emigracja i dawne związanie przez oba narody przeżyte zdarzenia historyczne. Powstała myśl założenia studium specjalnego o poziomie uniwersyteckim dla kształcącej się młodzieży francuskiej, zachęcającej ją do samodzielnego prac naukowych nad Polską. Polska Akademia Umiejętności dała tak pojętej uczelni swój autoritet naukowy. Oba ministerstwa — francuskie i polskie — delegowały do dyrekcji tego studium swoich przedstawicieli w osobach prof. André Mazona i prof. Zygmunta Zaleskiego. Utworzono trzy katedry: literatury polskiej, wiedzy o Polsce współczesnej i dziejów wojskowości polskiej. Na wykładowych powołano: Paul Cezina, Henri de Montforta i gen. Faurv. Na wykładowcę języka polskiego i do pomocy seminarnej



Biblioteka Polska akwaforta Konstantego Brandla

ODCZYTY

— W sali tej — objaśnia nas p. dyr. Pułaski — odbywały się w ciągu lat ostatnich odczyty francuskich uczonych i mężów stanu na tematy, dotyczące polskiej historii, literatury i współczesności państwa polskiego. Urządzano też nieraz wystawy; największe rozgłosu nabrała wystawa Chopina i George Sand, z okazji której przez izby Edouard Herriot wygłosił szeroko komentowane przemówienie, drukowane później w nr. 738/9 «Wiadomości Literackich», i złożył w darze Bibliotece oryginalny dekret mianującego Mickiewicza profesorem w Collège de France. Odczyty, wygłaszane w tej sali, zostały ogłoszone drukiem w wydawnictwie «Problèmes Politiques de la Pologne Contemporaine». Tomy poświęcone Śląskowi, Prusom Wschodnim, polityce bałtyckiej, dzielnicy pomorskiej, stanowią nie tylko pierwszorzędne źródła naukowe, ale również cenne stwierdzenie poglądów na te sprawy osobistości zażywających autoritetu naukowego lub politycznego we Francji. Jeden z tych to mów wyszedł pod redakcją b. prezydenta Francji, Alexandre Milleranda.

opinii autoritetów nauki i literatury francuskiej o zagadnieniach polskich, wreszcie rejestruje naukowo stwierdzone fakty, które mieć mogą znaczenie dla rewindykacji praw polskich. Ma ono, poczynając od najbliższego numeru, objąć też zagadnienia środkowoeuropejskie. Z tej racji przyszedł redakcji artykuł premier, gen. Władysław Sikorski.

Przechodzimy następnie na drugie piętro, do gabinetu dyrektora i do sali posiedzeń. Sali z portretem Niemcewicza. Sposstrzegamy na ścianach obraz przedstawiający opiewany przez Konopnicką cmentarz polski w Montmorency. Malował ten obraz nie kto inny tylko sam gen. Kniaziewicz. On, który niebawem potem spoczął w temże Montmorency obok najbliższego przyjaciela Niemcewicza. Kłóż nie pamięta tych dwu szlachetnych postaci, wykutych z kamienia natchnionem dudem Oleszczyńskiego z owym unoszącym się nad nimi aniołem polskiego zmartwychwstania. Ze nie tylko na Polaków działał twór naszego artysty, świadczy następująca opinia, którą przytacza p. dyr. Pułaski. Ambasador francuski Jusserand w pode-



Gabinet dyr. Pułaskiego

nr. 51.044

całego siebie, by trwał ten szaniec ideaowy Polski w sercu zaprzyjaźnionej Francji.

DZIEJE BIBLIOTEKI

Wkracamy do Biblioteki dzisiejszej. Przeszedłszy obok pomnika Jadwigi i Jagiełły, wchodzimy do obszernej czytelni. Wita nas p. Franciszek Pułaski, b. marszałek Rady Stanu, a od r. 1926 delegat Polskiej Akademii Umiejętności i dyrektor Biblioteki.

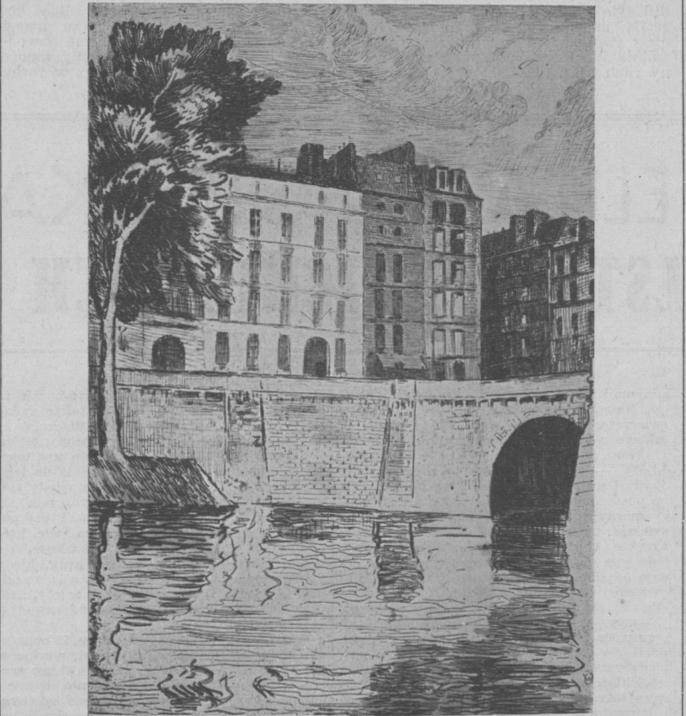
Na nasze zapytanie, czym była Biblioteka w przeszłości, a czym jest dzisiaj, jak się dostosowuje do potrzeb chwili, p. dyr. Pułaski wyjaśnia:

— Biblioteka Polska powstała przed stu laty. Z kilku bibliotek emigranckich połączył ją w jedną całość znakomity historyk Karol Sienkiewicz. Wspierały go w tem przedsięwzięciu czołowe postaci wielkiej emigracji: Niemcewicz, ks. Adam Czartoryski, Kniaziewicz, Ludwik Plater. Chodzili o to, by stworzyć dla przyszłej Biblioteki Narodowej, mającej zastąpić wywziętą i zniszczoną przez Moskali Bibliotekę, z którego zawieszki powstała powoli wielki zbiór dzieł ofiarności emigrantów, którzy ostatni grosz na ten cel złożyli i zapisywali Bibliotece przywiezione z sobą archiwa. A były to rzeczy waż-

REORGANIZACJA BIBLIOTEKI

W tym stanie rzeczy, wyłonił się projekt przeniesienia Biblioteki do kraju (1925), podobnie jak to uczyniono ze zbiorami amerykańskimi. Temu projektowi przeciwstawiano inny, przekształcenia Biblioteki Polskiej na instytut, odpowiadający współczesnym potrzebom państwowym i naukowym. Dzięki poparciu Marijana Seydy, wówczas podsekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych, a następnie Augusta Zaleskiego jako ministra spraw zagranicznych, projekt ten został przyjęty przez rząd, a realizacja jego powierzona delegatowi Akademii.

Biblioteka Polska miała się stać instytucją polską do współpracy intelektualnej z Francją. Przedewszystkiem wypadło dom przebudować, nie niszcząc jego charakteru. Zbiory biblioteczne ograniczono do rzeczy polskich. Działy nie wchodzące do tej kategorii odesłano do kraju. Z tego tytułu Biblioteka Narodowa i Biblioteka Akademii Umiejętności otrzymały więcej niż 60 000 tomów, a nadto



Biblioteka Polska akwaforta Stanisława Wilka-Oseckiego

znalazł pełne odwzajemienie dla przyszłych pokoleń i by na czas kongresu powojennego, Biblioteka mogła służyć naszym władzom państwowym pełnym udokumentowaniem przy rewindykacji naszych praw.

Drugie zadanie, związane z tym celem, to wydanie pracy bibliograficznej, która ma się ukazać p. t. «Guide bibliographique de la Pologne contemporaine» i która w układzie rzeczowym ułatwi każdemu badaczowi orientację, do jakich dzieł trzeba sięgnąć, aby opracować to czy inne zagadnienie, dotyczące Polski współczesnej.

Te dwa przedsięwzięcia znajdują się w ścisłym związku z podjętymi przez rząd pod kierunkiem p. ministra Stanisława Stronskiego pracami nad zagadnieniami wojskowymi. Dwie stworzone w tym celu komisje uzyskały pomieszczenie w Bibliotece Polskiej, która dostarcza nadto materiałów statystycznych i pomocy kartograficznej.

p. A. M. Chmurskiego. Na asystentów p. Czesława Chowańca, Irene Gąlewską i p. mjr. J. A. Teslara. Studenci po zdaniu egzaminu i wykazaniu się z rozpoczętych prac naukowych otrzymywali stypendja na dwumiesięczną podróż naukową do Polski. Jeszcze w ub. r. na okres wakacyjny przynano dwanaście stypendiów. Ogłaszano drukiem cenniejsze prace studentów oraz dzieła opracowane przez profesorów, stanowiące rozszerzone ich wykłady. Do nich zaliczyć trzeba prace Claude Backvisa o Trembeckim, książkę Montforta o Gdańsku (wydana w przededniu wybuchu wojny) i wreszcie będącą w druku, a przynoszącą zaszczyt autorowi monografię Krasieckiego, działającą «Centre d'Etudes» została ograniczona do dwóch wykładów tygodniowo prof. Cezina i Montforta. Nie są jednak wyłączone stypendja dla francuskich uczonych,

gdzieś w XVII w.).

WYDAWNICTWA

— Czy Biblioteka Polska oprócz wspomnianych wydawnictw podejmuje jeszcze inne publikacje?

— Tak jest — odpowiada p. Pułaski. — Podjęliśmy obliczone na szereg tomów wydawnictwo źródeł, dotyczących polsko-francuskich stosunków dyplomatycznych. Najważniejsze będą tomy, poświęcone stosunkom średniowiecznym, opracowane przez prof. Haleckiego. Poszukiwania na ten temat ujawniły nieznaną dokumentację pierwszorzędnej wagi. Na nieszczęście rękopis tej daleko już posuniętej pracy pozostał w Warszawie. Tom poświęcony ambasadorie d'Avaux został wydany przez mnie i przez prof. Władysława Tomkiewicza i zawiera m. in. bardzo cenny materiał obyczajowy, dotyczący stosunków gdańskich w XVII w.).

Czytelnia nr. 51.052

Tego rodzaju działalność odczytowa będzie obecne wznowiona. W ostatnich czasach, czyniąc zadość potrzebie bieżącej, urządzano zebrań dla świeżo przybywających z Polski uchodźców, a to w celu dać im możliwość wymiany zdań na tematy, które były poruszane w krótkich odczytach, o zdarzeniach bieżących, wygłoszonych przez Tytusa Filipowicza, prof. Haleckiego, Adama Romera, Jana Żarnowskiego i in.

szłym już wieku i w złym stanie zdrowia wstąpił do Polski w misji specjalnej. Gdy wracał z Warszawy, na dworcu spotkała go sędziwa małżonka. Pomimo zmęczenia drogą, p. Jusserand powiedział: «Tak jestem wzruszony widokiem odradzającej się Polski, że uważam za swój obowiązek, zanim wrócę do domu i zanim przystąpię do moich prac urzędowych, złożyć raport o tem co się dzieje w Polsce, u wspólnej mogły Niemcewicza i Kniaziewicza w Montmorency». I sędziwy dostojnik francuski, dotychczas jeszcze ten wysiłek do zmęczenia podróży, z dworca pojechał do Montmorency, by złożyć na grobie bohaterów białe i czerwone róże na nowitanie odżywiających barw narodowych.

— Ów Francuz rozumiał, że w naszych tradycjach są nieśmiertelne elementy odrodzenia. Za salą niemcewiczowską idą szeregiem nokieje, prowadzące do Muzeum Adama Mickiewicza. Witruw nuste, bo cenniejsze namiatki ukrvto na czas wojny w bezpieczne miejsca. Trwa tylko w zadumie postać wieszaka w szlachetnej kreacji Davida d'Aners.

Spisał JAN ADAMOWSKI.

*) por. pracę Stanisława Kota w nr. 823/4 «Wiadomości Literackich».

JEAN MALAQUAIS

JAWAJCZYC

PRZEŁOŻYŁA HALINA WIERZYŃSKA

Dajemy poniej w przekładzie polskim wstępny rozdział głośnej powieści Jeana Malaquais p. t. „Les Javanais”...

Najedliśmy się zupy w kuchni dla ubogich i znowu wyszliśmy na ulicę. Chłopiec, który przycepił się do mnie...

On także nie. Nie szedł nigdzie. A więc poszliśmy razem. Chłopiec był gadatliwy. Pociąg bez przerwy nosem, wydając przytem głuchy świst...

Pociąg niosł nas przez lasy. Wiesz, jak się nagrzewa taki kaloryfer? Spojrzałem na niego. Był poważny jak pod...

— No, tak — podjął. — Ale dlaczego parą? Miałeś, więc mówił dalej: — Centralne ogrzewanie, dobra rzecz...

— Wiesz, jak się nagrzewa taki kaloryfer? Spojrzałem na niego. Był poważny jak pod. Czy naprawdę wiedziałem?

— No, tak — podjął. — Ale dlaczego parą? Miałeś, więc mówił dalej: — Centralne ogrzewanie, dobra rzecz...

— Wiesz, jak się nagrzewa taki kaloryfer? Spojrzałem na niego. Był poważny jak pod. Czy naprawdę wiedziałem?

— No, tak — podjął. — Ale dlaczego parą? Miałeś, więc mówił dalej: — Centralne ogrzewanie, dobra rzecz...

— Wiesz, jak się nagrzewa taki kaloryfer? Spojrzałem na niego. Był poważny jak pod. Czy naprawdę wiedziałem?

— No, tak — podjął. — Ale dlaczego parą? Miałeś, więc mówił dalej: — Centralne ogrzewanie, dobra rzecz...

— Wiesz, jak się nagrzewa taki kaloryfer? Spojrzałem na niego. Był poważny jak pod. Czy naprawdę wiedziałem?

— No, tak — podjął. — Ale dlaczego parą? Miałeś, więc mówił dalej: — Centralne ogrzewanie, dobra rzecz...

— Wiesz, jak się nagrzewa taki kaloryfer? Spojrzałem na niego. Był poważny jak pod. Czy naprawdę wiedziałem?

— No, tak — podjął. — Ale dlaczego parą? Miałeś, więc mówił dalej: — Centralne ogrzewanie, dobra rzecz...

— Wiesz, jak się nagrzewa taki kaloryfer? Spojrzałem na niego. Był poważny jak pod. Czy naprawdę wiedziałem?

— No, tak — podjął. — Ale dlaczego parą? Miałeś, więc mówił dalej: — Centralne ogrzewanie, dobra rzecz...

— Wiesz, jak się nagrzewa taki kaloryfer? Spojrzałem na niego. Był poważny jak pod. Czy naprawdę wiedziałem?

— No, tak — podjął. — Ale dlaczego parą? Miałeś, więc mówił dalej: — Centralne ogrzewanie, dobra rzecz...

...Tutaj jesteś jak w klatce. Obijasz się o różne kraty, o różne mury, które zasłaniają widok. Ale ja wyjadę, i to niedługo. Zwięźle, dając ci na to ręce, że zwięźle.

Wyciągnął dłoń. Nagle spojrzął na mnie nieufnie, mrużąc oko i przechylając nabok głowę: — A ty nie, tylko słuchasz. Możesz ty przyspaćkiem tajniak?

— Odsunął się by lepiej ogarnąć mnie wzrokiem i nagle zmrużył gniewnie: — Odpowiedz, o jakiej? Czemu tak patrzysz na mnie zukaś?!

— Pociągnął nosem dwa razy i splunął gwałtownie. — Jak się nazywasz? Ja jestem Bryła, Maniek Bryła.

W głosie jego brzmiało wyzwanie. Mój przyjaciel miał żywe usposobienie, nie trzeba było dworca, by go podniecić. Powiedziałem mu, że jakkolwiek nie jestem gajowym, ręka mnie śwędzi, żeby mu dać w mordę za tajniaka.

— Też przypuszczeli... Skąd ci się biorą takie myśli?... Nagle zbliżył się do mnie, wziął mnie pod rękę. Pociągnął nosem z zadowoleniem.

— No to dlaczego nie mi mówiłeś przez cały czas? Usła jego rozciągnęły się w kłopotliwym uśmiechu.

— Nie lubię ludzi, którzy pozwalają opowiadać sobie mnóstwo rzeczy, a sami nie mówią. Taki był mój mąż. Słuchał co inni mu opowiadali i spod swojej wargi szczyrzył zęby, jak żył pies.

Tego to mogę powiedzieć, że nie cierpiam. Nie więcej zresztą, niż inni ludzie ze wsi. Lubili go jak wrzód na tyłku, ale bali się jego złych oczu. Bali się także jego generalskiej kapoty. Powiedział, dlaczego są tacy ludzie, których wystarczy zobaczyć, aby mieć ochotę wybić im zęby?

— Rozjeżdżał się dokoła, jakby szukał człowieka, którego mógłby mi wskazać jako przykład. — Mają twarz, co do których nie można się pomylić — dodał. — Potem popatrzył na mnie: — O czym myślisz? Czy sądzisz, że ludzie są naprawdę źli? Czy ja jestem zły, powiesz?

— Jak na moje upodobanie, byłby zanadto gadatliwy. W końcu jednak rozbroiła mnie historia. — Nie wiem, sądzę, że ludzie są nade wszystko nieszczęśliwi — odpowiedziałem.

— Uszliśmy parę kroków w milczeniu. Ręka mego przyjaciela zwiślała bezwładnie na mem ramieniu. Pociąg nosem raz poraz, sucho, zaprzęgnięty myślamy. — Ja także nie wiem — rzekłem.

— Myślałem już o tem, że ludzie są nieszczęśliwi. Ale dlaczego? Co im przeszkadza, by byli szczęśliwi? Widzisz, ja naprawdę, często nie jem dosyła, a jednak jestem wesoly. Wydaje mi się, że urodziłem się wczoraj, a życie jest takie długie, że w końcu musi nadejść dzień, kiedy nie będę głodny. Więc dlaczego?

— Umiesz czytać? — Tak, trochę. Bo co? — Nic... — Ale nauczę się. Nauczę się wielu rzeczy, zobaczysz. Dlatego właśnie chce wyjechać... Ach, wiesz, świat musi być taki piękny ze wszystkim co posiada... No, nie wiem... wielkiego, niezwykłego... Często myślałem, że gdybym był królem, otworzyłbym wszystkie granice i powiedziałbym: „Jedźcie, idźcie, nie trzeba już paszportów, ani wiz, ani nic. Zobaczyć, byś, jak byłoby wszyscy zadowoleni. Prawda, prawda?”

— Ale ponieważ nie jesteś królem... A nawet gdybyś był, nicbys się nie zmienił. Chciałbym ci to wytłumaczyć, a to wcale niełatwo. Powiedz mi, gdybyś nigdy nie mógł pojechać w świat, poznać obce narody i ich języki, czy czułbyś się nieszczęśliwy?

— O, napewno... Dlaczego? — A widzisz... Przeszłabyś być szczęśliwy i wesoly. To przymus napętał ludzi takim smutkiem. Świat nie dba o to, czego ty spragniesz; wręcz naodwrot, świat sprzeciwia się żebyś był wesoly, odmawia szczęścia matemu, prostemu człowiekowi, który jak ty, chce tylko żyć.

— Zobaczmy! — zawołał nagle. — Nie dam się! Nikt mi nie przeszkodzi, słyszysz, nikt!... Wyjdę ci się, wyjadę. Ulegniesz, poddasz się koniecznościom. Każdy człowiek ma jakiś przymus, jakieś swoje historie. Ty — masz podróże, ja — wściekłość, która szarpie mi wewnątrz. Spójrz dokoła, widzisz tych ludzi, którzy ciągną za sobą całe swoje życie, wszystkie radości, miłość i nienawiść. Wyobrażasz sobie, jak ciężko jest taszczyć to ze sobą wszędzie i zawsze? Niestrawność, migreny, przepukliny, trzydziście dwa zęby w ustach, pleć, dziedziczność i namietność, nade wszystko namietność? Przerzucił z dnia na dzień nieoczekiwanie na odległość dziesięć tysięcy kilometrów, zabierając ze sobą cały bagaż, rakowaci — swego raka, artretycy — swoją podagrę, garbaci — garby. Wszyscy. Niesposób wyzwoić

się od tego ciężaru, uciec od siebie, zapomnieć o sobie. Więc... Czy wiesz, że kobieta sprzedająca nowalje, zadowolona jest z tego że się sprzedaje. Czy buchałarowi wystarczy to że prowadzi książki? Powiem ci więcej... wszystko to jest źle, skłone, a djabło szkoda. Spójrz, widzisz miasto? Na świecie jest tysiące podobnych miast, w każdym mieście tysiące ludzi. Chodzą, zatrzymują się, idą dalej. Patrzą na księżyc. Prowadzą pociągi. Biją się. Kochają. Jęczą. Wyrabiają lemo-

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

— Nie, nie puszcze. Odpowiedz, może i ja mam podagrę, albo raka, albo co innego. Może mam przepuklinę? Albo garb, albo stracha, albo namietności? Czy on zarwował? Powiedziałem mu tylko: — Ależ nie, nie dotyczyło to ciebie osobiście, nie unosi się, wszystko ci wytłumaczę. Chciałem powiedzieć, że nie barłoga klatki, ale żeby zniszczyć klatkę, obalić system przymusu...

wiat. Dzwonki sanek dźwięczały czysto, prawie rytmicznie. Bryła pociągnął nosem uparczywie. Od czasu do czasu rzucał na mnie srożeńże zbył jasnych oczu, widziałem w ich ironicznym wyrazie odcień ciekawości. Wydawał mi się młodszy niż przed chwilą, może szesnastoletni. Pocałem się zawstydzony, że mu palcem cały ten niezrozumiały dyskurs, z zwierzeniem mu się z tego. Jego wargi rozchyliły się, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale widocznie rozmyślił się, bo nic nie powiedział. Był bardzo piękny. Za tłumem pojazdów i ludzi wznosiła się czarna od sadzy stacja.

Gdy tylko znaleźliśmy się w poczekalni, towarzyszył mi stanął jak wrośnięty przed rozkładem jazdy. Poszedłem za jego wzrokiem i czytałem dziwaczne nazwy, o gorączkowem, nieoczekiwanem brzmieniu: Wiedeń — Praga — Paryż — Istanbul. W oczach Mańka gorzało mistyczne uniesienie, nienasycony głód. Zaczęłem rozumieć jego ekstazę i czar, jakim urzekały jego wyobrażenia te nazwy drukowane na kolejowych afiszach.

Stara babcina przykucała pod ścianą na ławce drżał całem ciałem. Młody, może trzydziestoletni człowiek, oparty, balustradę, nie spuszczał oczu z kaloryfera, osaczonego przez tragarzy. W jego spojrzeniu nie było już nic, nawet nienawiści, tylko bezmierne zmęczenie. Pieciu, osmiu, a może dziesięciu bosonogich wyrostków zbitych w kacie, umierało z zimna. Podróżni, zaferowani, obławdowani pakunkami, spoiniali, krzykliwi, skorzy do kłót, ni, mijali, szli, wracali, nie rzuciwszy okiem na gasnące obok nich istoty.

Pocałem, że Bryła dotknął mego ramienia. Pociągnął mnie w pustę miejscie i tam chwytając moją rękę, powiedział wzruszonym głosem: — Może nie powinienem ci tego wyznać, bo jesteś chłom, ale daję drapak, rozumiesz, wieje.

Poprzez ściśnięte szczyki powtórzył: — Rozumiesz, kanzodziej? Słowo daje, nie rozumiałem: — Dokał jedziesz? — Wyglądasz jakbyś nie rozumiał, ty co tak dobrze umiesz gadać. Jesteś młodszy w pięści niż w głowie. Słępy był to widział. No, nie chcesz powiedzieć, jak się nazywasz?

Chwycił drugą ocalałą kłapę mej marynarki: — Mówię ci, że daję drapak, rozumiesz teraz, bohaterze? I to nie później, tylko zaraz. Pomożesz mi, braciszku, należy mi to do ciebie.

— Tak, tak, zapewniam — powiedziałem. — Ale chyba powinieneś mi wytłumaczyć: nie wiem w końcu... — Nie potrzebujesz więcej wiedzy. Otwieraj oczy i patrz. Będiesz robił co ci powiem, widzisz to?

Pokazał mi chustkę zwiniętą w węzełek i pytał: — Co to jest? — No... — Co to? — nalegał rozkazująco. — Wedka. — Boisz się, że ci gęba spuchnie, jeżeli odpowiesz na pytanie? — Chustka.

Dobrze. Poznałeś. A teraz patrz. Udał, że wykonywa parę magicznych ruchów, i błysnął przed moimi oczami dziesięciokrotną

Teatr Polski we Francji

Nouveau Théâtre Antoine: «Ciekła mi Przepióreczka», komedia w 3 aktach Stefana Żeromskiego; reżyserja Zbigniewa Ziemińskiego, dekoracje Ireny Loreniewicz.

Teatr Polski we Francji, który zaczął swą pracę przedstawieniem «Przepióreczki» Żeromskiego, powstał z dwu potrzeb i służyć ma dwu celom. Jeden — to pouczenie i szlachetna rozrywka dla żołnie-

Krótką historją powstania i działalności polskiego zespołu teatralnego w Rumunji posiada szc. ególną wymowę, i dlatego warto ją opowiedzieć, zanim się przystąpi do właściwego tematu, t. j. do przedstawienia charakteru i zadań Teatru Polskiego we Francji. Utworzenie tego zespołu, podobnie jak powstanie Uniwersytetu Polskiego Zagranicą, jest podtrzymującym na duchu dowodem na siłę polskiej kultury, która przeżyła tak blisko jak nigdy dotychczas w naszej historii, stanęła dzisiaj wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa. Świetały, na wielkich tradycjach oparty, teatr polski, podobnie jak polska szkoła, legł w gruzach.

Siedem polskich przedstawień teatralnych w Rumunji, przygotowanych i wykonanych wśród najcięższych warunków w pierwszych dniach emigracyjnej tułaczki, zaraz na pierwszym etapie, to dowód, że tylko dom-

tych przedstawień dać znacznie więcej, przygotowaliśmy nawet drugi spektakl, złożony z III części «Dziadów» i aktu II «Wywoleńca», ale wczoraj nas do Paryża.

Powołany obecnie przez władze rządowe do życia Teatr Polski we Francji jest pierwszym i jedynym naszym teatrem zawodowym w emigracji. Zadania jego mają być wedle szeroko zakreślonych planów rozegrywane. Ziemiński charakteryzuje cele teatru w ten sposób: — Chcemy stworzyć niejako dwa teatry: teatr artystyczny i teatr polski walczący. Co przez to rozumiemy? Otóż teatr artystyczny według naszej koncepcji ma skupiać i należyć się reprezentować swięty dorobek polskiej sztuki teatralnej, będzie się starał na drodze swego rozwoju dorobek ten wzbogacić w nowo wartości, ażeby choć w drobnej części wyrównać po powrocie do kraju szkody i zniszczenia. Teatr Polski walczący będzie chciał

Stulecie Claude Moneta

Gdyby nie wojna, Francja, która umieć swoich artystów, w setną rocznicę Claude Moneta zdobyłaby się, jak zwykle, na wielką wystawę dzieł tego artysty. W obecnych warunkach musimy się zadowolić skromną prywatną inicjatywą galerji André Weila (26, av. Matignon).

Aczkolwiek Monet nie należy do moich ulubionych malarzy, składam mu jednak należny hołd, gdyż przed memi oczyma rozwija się ogrom jego twórczości, na obecnej wystawie zaledwie podkreślony. W ostatnich dwudziestu latach Monet znowu odzyskuje należne mu miejsce. Był jednak okres w epoce «fauves» i kubizmu, gdy podważano wartość artysty. Dziś przywrócić mu należy jego miejsce. W ostatnich dwudziestu latach Monet znowu odzyskuje należne mu miejsce. Był jednak okres w epoce «fauves» i kubizmu, gdy podważano wartość artysty. Dziś przywrócić mu należy jego miejsce. W ostatnich dwudziestu latach Monet znowu odzyskuje należne mu miejsce. Był jednak okres w epoce «fauves» i kubizmu, gdy podważano wartość artysty. Dziś przywrócić mu należy jego miejsce.

malowana jest soczystą, gęstą nałożoną materją, doskonale oddającą kontrast zielonej sukni, białej jakki, purpurowej kani. Piękny jest również obraz łaki z motylem. Wyjątkowo subtelnie namalowana jest w tym obrazie zieleń.

Monet, oddzwajający z takim mistrzostwem mglisty pejzaż normandzki potrafi jednocześnie w «Palmach» wydobyć ogromne nateżenie światła południowego Skromny obraz «Droga w Vetheuil» jest w swoim rodzaju arcydziełem. Syta soczysta zieleń, żółty piasek środkowej drogi, tęgi kolor sklebotnionych domów, subtelna niebieska dal z zielonemi odcieniami, a przytem ołowiane niebo z ciężkimi blokami stanowią razem kolorowo doskonałe zharmonizowane pejzaż.

Zastanawiamy się teraz, jakie są zalety «jakie braki, jakie jest miejsce Moneta w rozwoju malarstwa francuskiego. Zarzucają się znane. Swą doktryną impresjonistyczną ostatnich trzydziestu lat życia podtopił on pewne niezmiennie zasady malarstwa francuskiego: konstrukcję, kompozycję, jednolitość kolorystyczną wizerunku, jednolitość koloru, malarskość formy. Zarzucają się stosunkowo słuszne. Ale nie

Malcużyński i Szeryng

W «Opéra Comique» odbył się niedawno pod protektoratem Ignacego Paderewskiego koncert na rzecz żołnierza polskiego, zorganizowany staraniem towarzystwa «France-Pologne» i Stowarzyszenia Młodych Muzyków Polaków w Paryżu. Program wypełnili dwaj młodzi, lecz już chlubnie znani artyści: **Witold Malcużyński**, pianista, i **Henryk Szeryng**, skrzypek.



Henryk Szeryng

W pierwszej części wieczoru wystąpił Szeryng. Mimo bardzo młodego wieku, posiada on zupełnie dojrzałą indywidualność muzyczną i ma już za sobą dziesięć lat pięknej kariery. Solidne podstawy techniczne zaszczyt mu Flesch. Dzięki doskonałej szkole, wirtuozowska strona gry Szerynga jest bez zarzutu. Czysty ton, inteligentne frazowanie, swoboda operowania smyczkiem — oto zalety jego stylu. W «Mazurce» Żerzyckiego, «Legendzie», «Scherzu» i «Tarantelli» Wieniawskiego pokazał, że opanowanie instrumentu doprowadził do niezawodnej doskonałości i niemal matematycznej precyzji. Właściwości te kryją jednakże pewne niedomagania, czasami bowiem czuło się w grze Szerynga jak gdyby chłód, a w interpretacji akademickość. Heleńko jednak młody artysta ulegał bardziej instyngtom, grał to doskonale wyniki, jak np. ciepło i z temperamentem odegrał «Menuet» Paderewskiego.



Witold Malcużyński

Malcużyński, jeden z najlepszych pianistów polskich doby obecnej, jest typem mocjonalnym z natury i z wyszkolenia, oryjnajmniej z okresu warszawskiego. Prof. Turczyński rozwijał bowiem w swoich uczniach przedewszystkiem ich osobistą indywidualność, a temperamentowi ciał dawał niemal kompletną swobodę. Zekniecie z Paderewskiem i ze szkołą francuską w osobie Marguerite Long, wytworzyło u Malcużyńskiego pewną powściągliwość, która czasami wydaje się jakby zewnętrzna i narzucona (środkowa część «Marsza»), oraz większą troskę o formę i konstrukcję utworu. «Krakowiak» Paderewskiego i «Wariacje op. 3» Szymanowskiego, odegrane po mistrzowsku, posiadały świadomą i skryzlowaną koncepcję artystyczną. Równie wyraźnie zaznaczyła się indywidualność młodego pianisty w «Polonezach», «Mazurkach» i «Etudzie cis-moll» Chopina. Jeżeli chciało się wyrazić pewne zastrzeżenia, dotyczyłyby one jedynie point i oddechów, które można by roznieścić racjonalnie, oraz operowania prawem kontrastów, tak niezmiernie w muzyce ważnym. Wiele wolniejszych fragmentów nadawałoby się do wyszkolenia w sensie odpożytku i do wirtuozostwa technicznego i do wtworzenia odmiennych nastrojów kontemplacyjnych. Te drobne szczegóły nie umniejszają wysokich walorów artystycznych gry Malcużyńskiego, który jest w pełni pianistą w wielkim stylu.

Tumnie wypełniona sala «Opéra Comique» świadczyła o zainteresowaniu publiczności parwskiej i naszej emigracji wspólnym recitaleem dwu wybitnych młodych artystów, których przyjmowano bardzo gorąco.

MICHAŁ KONDRACKI.

Niedocia jest czytać
„Wiadomości Polskie”
 trzeba je prenumerować



Zbigniew Ziemiński

fol. Pikiel

rzy, drugi — to ratowanie polskiej kultury teatralnej, ratowanie artystów, którzy zdołali się przedostać z Polski, ratunek nie tyle materialny ile przedewszystkiem moralny, przez danie im zadań na wysoką miarę i stworzenie z nowego teatru dziedzica tego co w naszej sztuce dramatycznej było najszlachetniejsze i najbardziej żywe. Przy dobrze pomyślanej organizacji dwa te cele mogą się doskonale godzić, i nowy teatr, którego wcale już poważny zespół napewno dozna jeszcze wzmożenia, może go doskonale wyzyskać w obu kierunkach. Jeżeli ratuje się naukę i literaturę z myślą o ich męczeństwie w Polsce — jakżeż nie chciałoby działać sztuki polskiej tak swiętym, którym zawsze chlubiłiśmy się przed zagranicą, uchronić od zagłady, zarówno ludzi jak tradycję, ową wielką ambicję, zdobiącą zawsze czołowe nasze sceny. Ta ambicja wyrazić się musi w repertuarze, w którym miejsce może być na wszystko, pod warunkiem przecież by każda sztuka — choćby naiwna i popularna — była godziwa, szczerą, by pisana była dobrze po polsku, by szeryła myśl zbrodzą, by wolna była od tego tpego, bezmyślnego zadowolenia, które w ostatnich latach tyle złego naszej kulturze wyrządziło.

Ambicją też, którą przykład scen francuskich może szczególnie pobudzić, powinna być gra aktorska tak psychologicznie prawdziwa, takimi środkami wyrażona, sztuka mówionego wiersza tak wysoka, by nawet średni utwór sceniczny stawał się widowiskiem pełnym artystyzmu.

Wybór na pierwsze przedstawienie «Przepióreczki...» został zatwierdzony przez pełen wzruszenia nastrojów na premierze: sztuka jest dla wszystkich — a zarazem jest utworem ze szczytów naszej literatury, wielka polska idea poświęcenia jest tu sprowadzona do codziennego życia, i wreszcie wieści z kraju uczyniły z historii kursów w Porebianach sprawę tak przejmującą, jak nie była nawet w dniu premiery w Warszawie.

Wzruszenie, z jakim poiliśmy się cudowną mową Żeromskiego, jest miarą potrzeby takiego teatru dla nas, dla wychodźców. Słowo Żeromskiego, jego wznioły duch polski, jego wiara w wiedzę, w szlachetność człowieka — to nie żaden frazes, to poprostu pokarm, który nie daje schnąć duszy, tracić wiary i gnuśności, idealizm, raz jeden w całej twórczości laty potrzebował już niemal historyczny komentarz, przemówił ze świeżością, prostotą, siłą, idącą prosto do serca, do wszystkich serc. Sztuczność zasadniczego pomysłu, którego żadne wykonanie nie zdoła w całości wydrzeć, przestąpił ów idealizm, raz jeden w całej twórczości Żeromskiego uśmiechnęły, nawet dowcipny, trzymający wielkie słowa na wodzy, znak prawdziwej wności, której u schyłku życia Żeromski kosztował.

Pan Ziemiński nardzo inteligentnie wwrzeźsrował sztukę, wydobywając wszystkie efekty z tak różnych charakterów profesorskich, dając właściwe tempo i możliwie jednolity ton wykonania. Jego Przepióreczki był świadomym przedewszystkiem szalbiernem nie tylko wobec innych, ale i wobec siebie, co niewątpliwie ukryte jest w roli, tylko że Żeromski inaczej je rozumiał: wesoło ale zupełnie serio. W jednym razie dobrze, że artysta tej klasy, co pan Ziemiński kieruje nowym teatrem, jest on jednym z najlepszych naszych reżyserów i jednym z nary załędwie polskich aktorów swiętym mówionym wierszem. *Eichlerówna* miała w cudownym głosie, w pełnym leż spojzeniu, we wszystkich akcentach, wzruszającą wiarę w powagę i w wagę słów Żeromskiego. Przerosa ona postać Smugoniowej tonem dramatycznym, jakiego dziś poza nią nikt w Polsce nie ma: niekiedy jej pomysły, jak owo wyciągnięcie rąk o ratunek, gdy Przepióreczki w drugim akcie uwodzi Dorotę, były to objawienia aktorskie, o których woryzy się w teatrze legendy. Pani *Dziwońska* utrafiła we właściwy ludzki i zarazem naprawdę światowy ton, pan *Krzemiński* dzielnie dziedziczył rolę po Jaraczu, a pan *Sielicki* miał zarazem komizm w dobrym guście i szczerą ciepło w konwencyonalnej, ale rzewnej roli starego administratora. Wszystkie kontrasty rol profesorskich zostały wyłowione z większym lub mniejszym umiarem; pan *Lipski* w roli Ciekockiego dał w trzech akcie momenty wzruszające, a pan *Olśza* okazał talent komediowy, wyższy niż jego dotychczasowy rodzaj.

Pani *Irena Loreniewicz* nie miała ważnego zadania, ale zdołała tak ustawić i ozdobić cztery sceny szkolnej izby, że od podniesienia kurtyny byliśmy od razu w Polsce.

...



«Przepióreczka...» w Rumunji

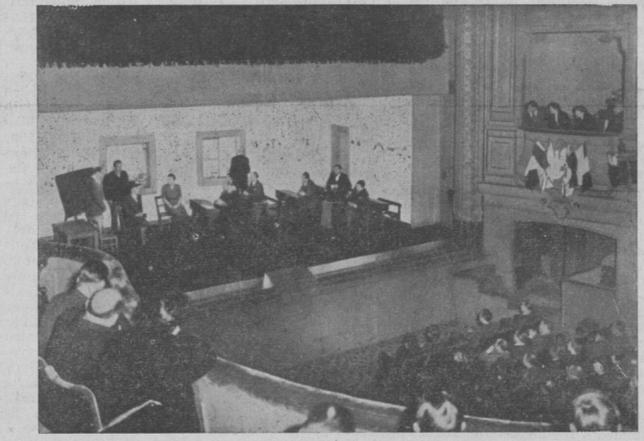
nr. 51.503

polskiego teatru zamknięty jest i zniszczony, ale że sam teatr żyje.

— Kiedy otrząsnąwszy się z pierwszego szoku zacząłem się w Bukareszcie rozglądać dookoła siebie, — mówi Zbigniew Ziemiński, — pomyślałem, że trzeba za wszelką cenę zacząć coś robić, udowodnić sobie samemu i tej masie ludzi, którzy jeszcze nie ocknęli się po straszliwym wstrząszie, że się coś dzieje, że wrzecież coś jeszcze zostało, że ktoś mówi, na Boga, po polsku!... Teatr... Oczywiście... Ale sam, bez partnerów, bez sztuk, bez dekoracji, bez rekwizytów i bez tytu innych niezbędnych rzeczy teatru nie zrobię... I nagle, po wielu dniach bezpłodnych rozmów, dowiaduję się z dzienników, że przyjechała do Bukaresztu Irena Eichlerówna. Teraz już wiedziałem napewno, że teatr będzie. Ale nie od razu udało mi się Eichlerównę w Bukareszcie odszukać.

możliwie jasno i prosto przedstawić cele walki i utrzymać wiarę w jej słuszność. O ile tak nazwany przez nas teatr artystyczny działał ma w większych skupieniach emigracyjnych miastach, to teatr Polski walczący dawał będzie przedstawienia w obozach wojskowych, docierając także do kwater żołnierskich na froncie. Od charakteru obu teatrów i od sfery działania uzależniony będzie repertuar.

— Spektakl, że tak go nazwę, parwski, w każdym razie miejski, odczuć musiał odpowiadać dużym wymaganiom zarówno co do swej treści jak i formy. Będzie nam zależało na utrzymaniu teatru polskiego na wysokim poziomie artystycznym. Trudno mi jeszcze wymienić dokładnie choćby tylko pierwsze pozycje repertuaru. Do ambitnych naszych zamiarów należy wystawienie «Warszawianki Wyspiańskiego i opracowywanej już w Rumu-



«Przepióreczka...» w Nouveau Théâtre Antoine w Paryżu

nr. 51.506

„Biegając jak szalony po obcym mieście, rozmyślałem nad repertuarem. Co będź emie w dwie grały? Czy wybrać jaką dwuosobową sztukę, może «Grób nieznanego żołnierza» Raynald, czy złożyć spektakl z fragmentów dramaty czwyczej? Wszystkie te projekty natychmiast odpadły, kiedy odszukałem wreszcie Eichlerównę i kiedy się oka ało, że jest nas w Bukareszcie więcej. Postanowiliśmy grać «Przepióreczkę...», tę sztukę tak jasną i prosto.

Próbę z przypadkowo zebrany w Rumunji zespół odbywały się w małych hotelowych pokojkach, w prywatnych mieszkaniach, jak konspi acyjne zebania. Ze strony teatru rumuńskiego doznaliśmy jak najbardziej wydatnej pomocy i opieki, serdecznej i bezinteresownej. Nie zaliczyłem nas wyraźny «czwyczej» i obojętne emigracyjnych «komitetów». Z tej strony odradono nam zdecydowanie: «Komu w tej chwili potrzebny jest teatr? Dla kogo będziecie grały?»

— Siedem przedstawień «Przepióreczki...» w Bukareszcie, Czerniowcach, Buzau i Ploeszti odbyło się p zy wypełnionej zaws e do ostatniego miejsca sali, wobec głęboko wzruszonej publiczności. Wydaje mi się, że można było

nji III części «Dziadów» oraz aktu II «Wywoleńca».

— Jeżeli chodzi o przedstawienia przeznaczone dla obozów wojskowych, to bynajmniej nie lekceważę strony formalnej, główny nacisk będzie miał jednakże na idee wartości sztuki.

— Specjalny charakter mieć muszą nasze występy w kwaterach żołnierskich. Nie może u być mowy p zedewszystkiem ze względów technicznych o t. zw. całowieczorowych spektaklach. Do kwatery będziemy z H z wierszem, skoczkiem i piosenką. Będą to przeważnie rzeczy specjalnie pisane, proste i mocne zarówno w formie jak i w swej wyraznej ideowo treści.

— Do wielkiej i odpowiedzialnej pracy przyświemy w skromnym zespole, licząc nie tylko na bliski współpracę polskich pisarzy, muzyków i plastyków, na pomoc i poparcie z ich i społeczeństwa, ale wierząc w to głęboko, że obok nas stanać będą mogli do roboty znakomitsi i ba i deł od nas dla teatru zasłużeni przedstawiciele aktorstwa polskiego, dziś tak tragicznie rozproszonego po świecie

MF.

NOWE FILMY

LES MUSIENS DU CIEL (MUZYKANTCI NIEBA (Le Colisée))

Kiedy założenia propagandowe ciągną w jedną stronę, a wymagania kasowe — w drugą, reżyserowie nie pozostają nic innego jak po ustaleniu kompromisowej linii scenariusza, włożyć cały swój talent i wysiłek w opracowanie szczegółów.

Szczegóły, fragmenty, posiaci drugoplane, nowe, dialogi w filmie «Les musiciens du ciel» są doskonale i dowcipne, prawdziwe i mądre.

Motyw główny jest prosty — nawrócenie grzesznika. Ale tu właśnie linja się rozszczepia, w głąb propagandy chcą wbić Wiktora, w głąb artystycznego chcą wbić Wiktora, w głąb artystycznego chcą wbić Wiktora, w głąb artystycznego chcą wbić Wiktora.

...

śmierci i pokazać, że Wiktor zostanie i bez niej w Armji Zbawienia. Nie bardzo nas to przekonawa.

Reżyser *Georges Lacombe* wywodzi się z dobrej starej francuskiej awangardy. Był asystentem René Claira w «Antrakcie». Pamiętam jego piękny liryczny reportaż z «kraju śmieciarzy», oaczącą rolę Parą długim pasem nędzy — «La zone» (wyświetlany na pokazie awangard francuskiej w Warszawie). Z tej właśnie «zone» wyprowadza Lacombe bohatera swego nowego filmu.

Jak starych znajomych witamy labirynt kretych uliczek, biegnących między smutnymi ruderami z dykt i b'achy, i nie wydaje się nam, żeby się coś w tej «zone» zmieniło, jeśli nawet policja usunie z niej fałszerza pieniędzy, współnika Wiktora, jeśli wielki świat bulwarów przyciągnie do swych światel kochankę Wiktora (*Sylvette Sauzet*), jeśli Armja Zbawienia wywoli z «kraju śmieciarzy» i jego samego.

Wiktora — *René Lefèvre* (zarazem autor scenariusza i dialogów) — jest prawdziwym żywym i czlowięciem. W *«La zone»* rzeczy, to jego zdrowe, proste i ludzkie reakcje ratują film od zakłamania, a nawet pozwalają oglądać go z zainteresowaniem i przyjemnością

STEFAN THEMERSON.



Droga w Vetheuil

ze od jego głębokich pejzaży malowanych w Argenteuil, Vetheuil. Oto dzieła, w których Monet staje się jednym z mistrzów pejzażu francuskiego. Jest on również wysmienity, gdy maluje nieskończoną dal morza, żaglowce znikające na dalekim horyzoncie, gdy chwyla w sposób oryginalny rozszalały żywioł podczas powodzi lub burzy.

Zatrzymajmy się przez chwilę przy obrazach z okresu do r. 1876. Ten okres malarstwa Moneta i innych impresjonistów bywa pobieżnie traktowany przez historyków sztuki. Mnie wydaje się, że jednym z zerwali wtedy jeszcze z wielką tradycją malarstwa Delacroix, Courbeta, Corotta, a już są przeleci potrzebą odnowienia palety francuskiej. Widać w tem wspa-

można być podstawą do osądzenia Moneta i jedynym kluczem otwierającym tajne intencje jego skomplikowanej twórczości. Jeśli niektórzy widzą w doktrynie dywizjonistycznej braki i słabości Moneta, to przecież można im odpowiedzieć, że Seurat dalej posunął dywizjonizm, umiając jednak zachować zmysł kompozycji i konstrukcji. Sądzę, że pewne jego braki można tłumaczyć tem, iż wypływają z samej istoty jego osobistej koncepcji malarskiej, szczególnie w twórczości jego ostatnich trzydziestu lat życia. Monet jak gdyby się poddał mistycznej potrzebie dematerializowania wizeru świata, jak gdyby chciał uwolnić materję od jej stałości i ciężkości. Założenie sprzeczne z plastyką malarską tradycji francuskiej. Podobnej fantasmagorji malarskiej uległ również Turner w



Śniadanie na trawie

niała ciągłość malarstwa francuskiego. Renoir jest wtedy wiekiem twórcą ze swej niebieskiej epoki, a Pissarro osiąga swoją największą ciężką kolorystyczną. Monet zaś jest najbardziej kompletny, chociaż u jego wpływom swych wielkich poprzedników.

Oto studjum do wielkiego obrazu «Śniadanie na trawie» z r. 1867. Jak wiadomo, obraz ten w swej skończonej formie jest jednym z klejnotów Muzeum we Frankfurcie. W dziele tem Monet całkowicie odchodzi od trójwymiarowej koncepcji Courbeta. Nie szuka modelunku, oddając zupełną okrągłość bryły w przestrzeni, jak to widzimy u Courbeta. Courbet polepiłby płaskość tego obrazu, Monet zaś nalajac go, pewnie uęgi w tej epoce wpływowi drzewoty japońskiego. Jest w tem dziele wytworność kompozycji, piękne kontrastowanie szaro-niebieskich p'lam w różnych gradacjach, idących od jasności do ciemności, z grającą zielenią w słońcu. A przytem jakie szczygóły!

Zaiste ten obraz jest już zapowiedzią malarstwa współczesnego. — przypomina dosadnością p'lam barwnej podobne pejzaże Maneta. Wiemy dzisiaj, jak wielki decydujący wpływ wywarł Jongkind i Boudin na p'leinairizm impresjonistów, a w szczególności — Moneta. «Plaży» jest swiętym dowodem, jak artysta o swoistej wartości może, ulegając wpływom innego artysty, dać rzecz wartościową i oryginalną. Obraz ten wskazuje na wpływ Boudina, jednak lekkość materji barwnej, biało-niebieskiej sukni, ośnadsność i zwartość arabski, dającej złudzenie niesłychanej przestrzenności powietrznej, jest osobistą kreacją Moneta. Naodwrót («Germaine i lalka» (z r. 1877)

FRANCISZEK BIEDART.

